PL ISSN 0867-0404
Nr indeksu 365661

magazyn 997 kryminalny

NR 12 (1931) ● 21 VI 1992 ● CENA 5000 ZŁ

- CZARNOBYL PO 6 LATACH
- ZAKLĘTE REWIRY
- GRANICZNE PRZEJŚCIA
- PODRYWACZ Z BRAMY
- ZAPACH FORSY
- SPIRYTUSOWYM SZLAKIEM

12
1992

zdj. K. Mokrzyszewski

POKAZY W LEGIONOWIE

s. 12–13

Zamiast komentarza

Nie piszemy o polityce. Tej formule jesteśmy wierni od momentu wykreowania „Magazynu Kryminalnego 997" i „Gazety Policyjnej". Jest to zgodne z zasadą apolityczności Policji rozumianą jako służba państwowa i w interesie społeczeństwa, ale nie służba rządom. Dziś robimy wyjątek. Tylko po to, aby być dobrze zrozumiani.

Antoni Macierewicz był mocnym człowiekiem rządu Jana Olszewskiego. Antoni Macierewicz przybił ostatni i być może decydujący gwóźdź do trumny tego rządu.

Jako minister spraw wewnętrznych obsadził wierchuszkę swego urzędu przyjaciółmi z tej samej partii. Obiecywał i zapowiadał wiele. Nie wypełnił właściwie nic, poza trwającą do ostatnich dni czystką szeregów oraz konsekwentną próbą realizacji swojej idée fix — ujawnienia tzw. agentów Służby Bezpieczeństwa. Osiągnął jeszcze jedno, izolację od Policji zabarykadowując niemal dosłownie gmach swego ministerstwa.

Antoni Macierewicz nigdy nie znalazł czasu na udzielenie wywiadu prasie policyjnej, znajdując go jednak i to nie raz dla pewnego prawicowego dziennika, radia i telewizji. Był pierwszym solidarnościowym ministrem, który nie uznał za stosowne wykorzystać w dialogu z podwładnymi łamów fachowych gazet.

Czuliśmy się z tego powodu nieco zakłopotani, gdyż nie mogliśmy przekazać Czytelnikom informacji z pierwszej ręki. Nie mogliśmy również uzyskać odpowiedzi na pytania, które stawiali nam Czytelnicy.

Antoni Macierewicz publicznie stwierdził, że Policji potrzebne są przede wszystkim wartości chrześcijańskie i narodowe. Jak już zauważyli policjanci-związkowcy z Zielonej Góry w liście otwartym do ministra spraw wewnętrznych, te pierwsze powinien wyznawać każdy wierzący, te drugie — każdy Polak. Tymczasem Policji brakuje pieniędzy, wyposażenia i godziwego uposażenia. Ta najliczniejsza i najbardziej wystawiona dosłownie pod kule formacja resortu spraw wewnętrznych znalazła się pod względem średniej płacy za Nadwiślańskimi Jednostkami Wojskowymi, UOP i Strażą Graniczną.

Zmiany, które nastąpiły oraz nastąpią w kraju i w samym Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, tchną optymizmem. Zapowiadają jakby powrót do normalności.

Mamy nadzieję, że nowe władze kierować się będą zasadą złotego środka oraz poczuciem realizmu. Tego właśnie — poza spokojem — potrzeba dzisiaj Polsce, obywatelom, a także policjantom.

MARCEL TABOR

NOWY SZEF RESORTU SPRAW WEWNĘTRZNYCH

Po burzliwej debacie parlamentarnej i odwołaniu rządu Jana Olszewskiego, na wniosek prezydenta Lecha Wałęsy Sejm powołał Waldemara Pawlaka na stanowisko prezesa Rady Ministrów i powierzył mu zadanie przedstawienia nowego składu rządu.

Jedną z pierwszych decyzji nowego premiera było powołanie kierowników resortów obrony narodowej i spraw wewnętrznych (na razie w charakterze sekretarzy stanu). Zostali nimi Janusz Onyszkiewicz i Andrzej Milczanowski.

Andrzej Milczanowski jest prawnikiem, absolwentem Uniwersytetu im. A. Mickiewicza w Poznaniu. Od 1962 r. pracował w Prokuraturze Powiatowej w Szczecinie. Od października 1980 r. był radcą prawnym i doradcą Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność". Skazany za działalność polityczną. 10 maja 1990 r. premier Tadeusz Mazowiecki powołał go na zastępcę szefa Urzędu Ochrony Państwa. Szefem tego urzędu został na wniosek ministra spraw wewnętrznych Krzysztofa Kozłowskiego kilka miesięcy później. Odszedł z tego stanowiska na początku rządów Antoniego Macierewicza.

(M)

zdj. K. Mokrzyszewski

Rozmowa z podinsp. ZENONEM SMOLARKIEM — komendantem głównym Policji

Z DALA OD POLITYKI

— Czy 4 czerwca br., w czasie posiedzenia Sejmu, które zakończyło się odwołaniem rządu Jana Olszewskiego, był w Policji stan podwyższonej gotowości?

— Nie było żadnego stanu podwyższonej gotowości w Policji. Pracowaliśmy normalnie, tak jak każdego dnia. Sprawy polityczne, być może prywatnie interesowały ludzi, ale służbowo nie. Nasze służby zbyt dużą cenę płaciły w przeszłości, będąc zbrojnym ramieniem PZPR, żeby angażować się do jakiejkolwiek gry politycznej. Policjanci są świadomi, że zaangażowanie się w rozgrywki polityczne byłoby szkodliwe dla całej Policji.

W piątek, 5 czerwca, rozmawiałem z komendantami wojewódzkimi i zaleciłem im, by zapewnili normalny tok pracy, bez zarządzania jakichkolwiek stanów podwyższonej gotowości, wprowadzania wzmocnionych dyżurów operacyjnych itp.

— Ale skoro pan zalecał, to znaczy były jakieś naciski, próby dotarcia do komendantów wojewódzkich?

— Nie było nacisków, nie miałem żadnych wcześniejszych ani późniejszych poleceń od ministra w tej sprawie. Była to moja własna inicjatywa. Przestrzegłem przed angażowaniem się w jakiekolwiek gry polityczne — do tego muszę się przyznać.

Przy okazji zebrałem opinie od komendantów wojewódzkich na temat wpływu ujawnienia teczek na komplikacje pracy operacyjnej Policji.

— Właśnie o teczki tajnych współpracowników i informatorów Policji chciałam pana zapytać.

— Gdyby ktokolwiek wpadł na pomysł ujawnienia teczek współpracowników Policji, na drugi dzień nie byłbym komendantem głównym. To katastrofa, gdyby człowieka, który pomógł nam ustalić bandytę, zabójcę, złodzieja czy przestępcę gospodarczego wystawiać na tego typu niebezpieczeństwa.

— A jednak jedna z kobiet, myślę o osobie, która pomogła w ujęciu przestępców na placu Hallera w Warszawie, została wystawiona?

— Było to poza Policją. Ostro zaprotestowałem wobec takich praktyk. Wynikło to, jak mnie poinformowano, z braku doświadczenia pewnych służb MSW. Jesteśmy zobowiązani przekazywać meldunki o wszystkich ważniejszych wydarzeniach do MSW. Nie możemy powstrzymać obiegu informacji ani też mieć wpływu na sposób ich wykorzystania.

— Jest zarządzenie, że wszyscy rzecznicy prasowi komend wojewódzkich Policji podlegają rzecznikowi prasowemu ministra?

— To mnie tak zdenerwowało, że sprawę przedstawiłem na kolegium ministra i zapowiedziałem, że tworzę własną strukturę zespołu prasowego KG Policji. Chcę, żeby za wszystko, co mówi i robi Policja, odpowiadała Policja.

— Za teczki współpracowników również?

— W związku z ujawnieniem teczek współpracowników UB i SB będziemy musieli podjąć pewne starania, żeby te osoby życzliwe, które współpracują z Policją, chciały nadal współpracować. Spotkaliśmy się z retorsją z ich strony. Żądają likwidacji, w ich obecności, wielu dokumentów. Nie mają po prostu zaufania do organów państwa. Sądzę, że jeżeli wyższe autorytety niż komendant główny Policji zechcą wystąpić z gwarancjami, iż agentura Policji zostanie nienaruszona, mogą wpłynąć na uspokojenie sytuacji. Ale już dziś płacimy spadkiem efektów pracy operacyjnej Policji.

— W większości krajów Policja pracuje własnym rytmem nie interesując się zbytnio zmianami rządów. A u nas?

— Tak powinno być. Policja ma swoje zadania do wykonywania bez względu na to, czy sprawuje władzę rząd pana Mazowieckiego czy pana Bieleckiego, czy pana Olszewskiego, czy pana Pawlaka... Nasze zadania nie ulegają zmianie. Mamy swoją działkę z dala od polityki. I ważne, żeby dobrze i skutecznie pracować.

— Dziękuję za rozmowę.

ELŻBIETA CIERLICA

MÓWIĄ PARLAMENTARZYŚCI

Poseł JAN MARIA ROKITA

— przewodniczący Sejmowej Komisji Administracji i Spraw Wewnętrznych:

— Ku chwale swojego kierownictwa, Policja nie była zaangażowana w ostatnie wydarzenia związane z ujawnianiem tajnych współpracowników UB i SB oraz przesileniem rządowym. Przynajmniej tak wynika z moich dotychczasowych informacji. To zapewne zbada jeszcze śledcza komisja sejmowa. Jeśli jednak potwierdzą się wiadomości o niezaangażowaniu Policji w ostatnie wydarzenia polityczne, to zmiany kadrowe we władzach Policji nie będą potrzebne. Oczywiście zadecyduje o tym premier z ministrem spraw wewnętrznych, za radą komitetu politycznego.

Potrzebne jest niewątpliwie wyraźne doprecyzowanie przepisów dotyczących kompetencji ministra spraw wewnętrznych i komendanta głównego Policji. Niemniej Policja musi pozostawać pod kontrolą parlamentu, a to jest możliwe właśnie za pośrednictwem ministra. Trzeba jednak wyraźnie powiedzieć, że komendant główny Policji to przede wszystkim fachowiec, a nie polityk i on musi stać na straży apolityczności podległych sobie jednostek. Apolityczności Policji nie zagwarantuję ustawa, ona zależy od postawy szefów resortu spraw wewnętrznych i komendanta głównego Policji, a ogólniej — od obyczajów politycznych.

Nie ma więc pilnej potrzeby dokonywania zmian w ustawie o Policji. Jest natomiast potrzeba zreorganizowania administracji i szerzej — ustroju państwa. Mam tu na myśli generalną reformę administracji publicznej, tzn. m.in. wprowadzenie drugiego szczebla samorządu terytorialnego, systematyczne likwidowanie administracji specjalnych. Potrzebne jest zespolenie administracji rządowej w terenie w ręku wojewody.

Reforma Policji będzie więc zapewne elementem takiej reformy administracji, ale to sprawa kilku lat. Na razie nie czepiajmy się szczegółów, lecz zadbajmy o stabilizację. A przede wszystkim o powrót zdrowego rozsądku do MSW.

zanotowała H.Ś.

Poseł JERZY DZIEWULSKI

— wiceprzewodniczący Sejmowej Komisji Nadzwyczajnej do zbadania wykonania przez ministra spraw wewnętrznych uchwały lustracyjnej:

— Kilka miesięcy temu podczas przesłuchania w komisji sejmowej Antoniego Macierewicza jako kandydata na ministra spraw wewnętrznych udzielił mu Pan swojego poparcia mimo obaw, jakie od początku ta kandydatura budziła wśród policjantów? Co Pan im powie dzisiaj?

— Że biję się w pierś z tego powodu. Udzieliłem Macierewiczowi kredytu zaufania, bo przecież nie można przekreślać człowieka jeszcze zanim zaczął coś robić. Wierzyłem, że ma dobrą wolę i świeże spojrzenie na resort, że będzie chciał zrobić coś dobrego. Bardzo szybko przekonałem się, że się pomyliłem.

— I teraz, jakby za karę, musi Pan poprawiać to, co on zepsuł, został Pan bowiem wiceprzewodniczącym komisji do zbadania sposobu, w jaki minister zrealizował uchwałę lustracyjną...

— Tak i muszę powiedzieć, że jestem przerażony tym, co zobaczyłem. Już ze wstępnego rozeznania komisji wynika, że to co pan Macierewicz przekazał Sejmowi, to są śmieci, bezwartościowe informacje zebrane przez ludzi nie mających pojęcia o pracy operacyjnej, bez selekcji i jakiegokolwiek zastanowienia. Na listach rzekomych agentów znajdują się nazwiska kandydatów na tajnych współpracowników, tych, którzy odmówili, tych, którzy byli w tzw. zainteresowaniu itd. Za wcześnie jeszcze na pełne opinie, ale obawiam się, że materiały naprawdę istotne zostały ukryte...

— Chociaż za wcześnie jeszcze na formułowanie opinii, proszę powiedzieć, jakie są pierwsze, gorące wnioski na przyszłość, które nasunęły się Panu w czasie pracy komisji?

— Przede wszystkim takie, że muszą zostać stworzone prawne i ustawowe gwarancje, iż archiwa MSW nie mogą być uruchamiane i manewrowane w dowolny i nie kontrolowany sposób przez ministra spraw wewnętrznych. One nie są przecież własnością ministerstwa, są własnością państwa...

— Jak ocenia Pan sytuację, w jakiej znalazła się Policja w ostatnim okresie? Czy nie było prób wciągnięcia jej do tej politycznej awantury?

— Cieszę się, że nie doszło do wmanewrowania Policji w toczące się rozgrywki. Ale jest wielce prawdopodobne, że mogłoby do tego dojść, gdyby nie zdecydowane wkroczenie prezydenta i przecięcie niebezpiecznej sytuacji. Uważam, że Policja i wojsko muszą być zabezpieczone przed takimi ewentualnościami, a obawiam się, że aktualne ustawy nie gwarantują tego do końca. Myślę, że gdy uporamy się i ochłoniemy już po tym, co się stało, trzeba będzie całą sytuację wnikliwie przeanalizować i zastanowić się, w jaki sposób ustawa mogłaby gwarantować, że minister nie użyje podległych mu jednostek do rozgrywek politycznych.

rozmawiała ELŻBIETA SITEK

Senator KRZYSZTOF KOZŁOWSKI

— były minister spraw wewnętrznych:

— W chwili przesilenia politycznego Policja zachowała się poprawnie, tzn. zachowała swoją apolityczność.

Uważam, że resort spraw wewnętrznych powinien być wyjęty z gry politycznej, nie może ulegać naciskom żadnej partii. Z przerażeniem obserwowałem sytuację, która pchała go w uwikłania polityczne.

Minister spraw wewnętrznych, z chwilą uzyskania nominacji na to stanowisko, powinien zapomnieć o swojej przynależności partyjnej Co więcej, powinien robić wszystko, by nie stać się instrumentem, razem z całym resortem, w grach politycznych i starać się uchronić podwładnych od udziału w aferach politycznych.

Uregulowania formalnoprawne, które chroniłyby tę apolityczność są możliwe, ale one nigdy nie zagwarantują jej w pełni. Tu ostatecznie wszystko zależy od ludzi. Musi powstać obyczaj, że MSW nie może być przez nikogo użyte w rozgrywkach politycznych, bo to powoduje konsekwencje wykraczające daleko poza resort.

Minister, który jest poddawany takim naciskom, musi po prostu odmawiać i ewentualnie podać się do dymisji.

Zmiany ministrów to zjawisko naturalne, ale — od dawna to głosiłem — powinny być one praktycznie niezauważalne w resorcie, nie mogą zakłócać trybu i ciągłości pracy. Tę ciągłość powinni gwarantować już wiceministrowie, choć można byłoby dyskutować czy wiceminister to jeszcze polityk, czy już zawodowiec. Wszelkie zmiany kadrowe od tego szczebla muszą wynikać z przydatności do pracy, a nie z tego, że akurat zmienił się minister. Trzeba więc oddzielić zmianę na stanowisku ministra od gwałtownych czystek, bo MSW to nie jest podwórko żadnej partii.

Ostatnio odeszło z resortu paru zdolnych i pełnych zapału ludzi i myślę, że obecny minister Andrzej Milczanowski — a znam go jako człowieka obiektywnego i nie poddającego się naciskom politycznym — zechce to naprawić. My w 1990 r. nie niszczyliśmy wszystkiego i wszystkich, angażowaliśmy nowych ludzi, ale zatrzymywaliśmy uczciwych i profesjonalistów. Myślę, że trzeba ten kierunek utrzymać.

MSW to wielka machina, ale też wielka pokusa, by nadużywać władzy. Potrzebne są więc zabezpieczenia, lecz one nie wystarczą. Można wszystko zrobić osobno: Policję, UOP, można w ogóle zlikwidować resort, a odpowiednie służby podporządkować administracji, tylko te rozwiązania nie zastąpią odpowiednio dobranych ludzi. Bo w tej służbie trzeba myśleć nie o partiach, nie o własnych sympatiach, lecz o interesie państwa.

zanotowała HANNA ŚWIESZCZAKOWSKA

Poseł JACEK TAYLOR

— wiceprzewodniczący Sejmowej Komisji Sprawiedliwości:

To, co stało się ostatnio w MSW, ocenia jak najgorzej, jako pogwałcenie zasady apolityczności.

Zdaniem posła, znowu zrobiono z resortu spraw wewnętrznych instrument walki politycznej. Uważa, że zabezpieczenia prawne przeciw takiemu niebezpieczeństwu istnieją, ale nie przestrzegano ich.

Gwarancją, by nie doszło do podobnych wydarzeń w przyszłości, może być tylko właściwa obsada stanowisk.

HAT

Wkrótce w sprzedaży 14 numer „Gazety Policyjnej"

GAZETA policyjna

Polecamy w niej: W Sejmie o budżecie i Policji ● Resortowa służba zdrowia ● Liczy się zawodowiec ● Doświadczenia warszawskich policjantów ● Policjant — złodziejem ● Bydgoska grupa antyterrorystyczna ● Ciekawostki kryminalistyczne ● Kryminałki ●

OGŁOSZENIE

Samotny(a)? Przed czterdziestką? ZAPRASZAMY!!! Informacje: **KLUB MATRYMONIALNY MŁODYCH; skrytka 1827; WROCŁAW 46;**
Policjantki: GRATIS — wpisowe! Warunek — wycinek ogłoszenia.

Katyń ● Charków ● Miednoje

CZY ISTNIEJE PODPISANA DECYZJA?

Podczas niedawnej wizyty prezydenta Lecha Wałęsy w Rosji, polskiemu przywódcy wręczono akta dotychczasowego śledztwa w sprawie zamordowania polskich jeńców z obozów w Kozielsku, Ostaszkowie i Starobielsku. Prowadzi je nadal Naczelna Prokuratura Wojskowa Rosji. Nie spełniły się więc oczekiwania, że Borys Jelcyn przekaże Lechowi Wałęsie uchwałę Biura Politycznego KC WKP(b) zawierającą polecenie uśmiercenia Polaków. Ponownie więc nasuwa się pytanie: czy istnieje podpisana decyzja.

Problem ten pojawił się już po pierwszych przesłuchaniach (w charakterze świadków) byłego szefa Zarządu NKWD ZSRR ds. Jeńców Wojennych i Osób Internowanych Piotra K. Soprunienko i byłego szefa Zarządu Obwodowego NKWD w Kalininie (obecnie Twer) w roku 1940 Dmitrija S. Tokariewa. Poinformowali oni prokuratorów wojskowych, że zagłady jeńców polskich z tych 3 obozów dokonano na podstawie uchwały Biura Politycznego KC WKP(b) podpisanej przez Józefa Stalina.

Poszukiwanie tego dokumentu stało się ważną częścią prac grupy specjalnej kierowanej przez podpułkownika (awansowanego już do pułkownika) służby sprawiedliwości Aleksandra W. Trietieckiego.

Starania rozpoczęto pod koniec 1990 roku. 10 grudnia ówczesny zastępca naczelnego prokuratora wojskowego ZSRR gen. Wiaczesław S. Frołow skierował pismo o udostępnienie dokumentu dla potrzeb śledztwa do kierownika Wydziału Ogólnego KC KPZR W. I. Bołdina (aktywnego później uczestnika spisku przeciwko Michaiłowi Gorbaczowowi w sierpniu 1991 roku). 31 stycznia 1991 r. ówczesny prokurator generalny ZSRR N. S. Trubin zwrócił się z podobnie brzmiącym pismem do przewodniczącego Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego ZSRR Władimira Kriuczkowa (współorganizatora późniejszego puczu). 5 maja 1991 r. prokurator generalny Trubin skierował prośbę o pomoc w odszukaniu dokumentu Biura Politycznego do prezydenta Związku Radzieckiego. Jednocześnie poszukiwano tajnej uchwały lub jej kopii w archiwum dyplomatycznym.

3 października 1991 r., a więc już po ekshumacjach w Charkowie i Miednoje, zastępca naczelnego prokuratora wojskowego ZSRR W. A. Smirnow przesłał prośbę o wszczęcie poszukiwań dokumentu do przewodniczącego Komitetu ds. Archiwów przy Radzie Ministrów RSFRR Rudolfa G. Piechoja. Nieco później ponowiono pismo do KGB ZSRR, kierując je do nowego przewodniczącego tej instytucji Wadima W. Bakatina.

W związku z brakiem rezultatów wystąpień 25 października pismo do prezydenta Michaiła Gorbaczowa ponowił również prokurator generalny ZSRR.

Obok pism oficjalnych, członkowie specjalnej grupy śledczej przeprowadzili wiele roboczych rozmów telefonicznych.

9 października 1991 r. ppłk W. M. Granionow w rozmowie z zastępcą przewodniczącego Komitetu ds. Archiwów przy Radzie Ministrów RSFRR A. S. Prokopienką ustalił, że teczki z tajnymi uchwałami Biura Politycznego przechowywane były w 6 sektorze archiwum prezydenta ZSRR, skąd przekazano je do archiwum Federacji Rosyjskiej. Szukano ich następnie bez rezultatu w archiwum historii najnowszej, u szefa kancelarii prezydenta, pełnomocników tej kancelarii itd., itp.

W grudniu uzyskano wiadomość, że pismo prokuratora generalnego w sprawie udostępnienia uchwały Biura Politycznego KC WKP(b) dotyczącej likwidacji polskich jeńców znajduje się w sekretariacie prezydenta ZSRR. Okazało się jednak, że kierownik administracji prezydenta Rosji Jurij Pietrow wydał zakaz udostępniania dokumentów archiwalnych.

Prokuratorzy wojskowi w dalszym ciągu usiłowali zdobyć cenny dokument. 26 grudnia z Rudolfem Piechoją rozmawiał przez telefon płk Aleksandr Trietiecki, Przewodniczący Komitetu ds. Archiwów przy Radzie Ministrów Rosji poradził mu, aby zwrócił się do Archiwum Specjalnego. Na uwagę prokuratora, że archiwum to zostało sprawdzone jeszcze w roku 1990, Rudolf Piechoja poinformował, że do marca 1992 r. trwać będzie przekazywanie dokumentów z archiwum byłego ZSRR do Głównego Archiwum przy Radzie Ministrów Rosji i w tym czasie nie można będzie uzyskać żadnych materiałów.

Ciekawą informację przekazał prokuratorom zastępca Piechoi Anatolij Prokopienko, który oświadczył, że poszukiwana uchwała nosi prawdopodobnie datę z marca 1940 roku i aktualnie wraz z innymi dokumentami z archiwum prezydenta ZSRR trafiła do Głównego Archiwum przy Radzie Ministrów Rosji. Przekazane dokumenty zbadane będą przez Rudolfa Piechoję, Anatolija Prokopienkę oraz znanego historyka, doradcę Borysa Jelcyna gen. Dmitrija Wołkogonowa. Prace te potrwają jednak przez dłuższy czas, gdyż archiwum to zawiera 70 tys. dokumentów.

Wydawało się, że specgrupa prokuratury bliska jest już zdobycia dokumentu Stalina. Jednakże 16 stycznia 1992 r. Anatolij Prokopienko poinformował prokuratora Trietieckiego, że szef administracji prezydenta Rosji Jurij Pietrow twierdzi, iż być może w archiwach nie ma w ogóle dokumentu nt. rozstrzelania polskich jeńców, gdyż zgodę na tego rodzaju akcję prawdopodobnie wydano ustnie.

Anatolij Prokopienko poradził jednak płk. Trietieckiemu, by ponownie skierować pismo o poszukiwaniach uchwały Biura Politycznego KC WKP(b) na adres prezydenta Federacji Rosyjskiej.

20 stycznia 1992 r. naczelny prokurator wojskowy Rosji gen. lejt. służby sprawiedliwości L. M. Zajko skierował odpowiednie pismo do Borysa Jelcyna.

Poszukiwania tego ważnego dla śledztwa dokumentu trwają. Dotychczas — bezskutecznie...

MARCEL TABOR

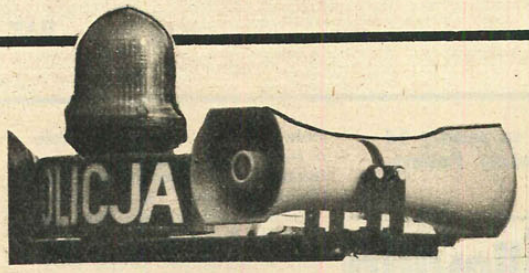

Wybór zdarzeń kryminalnych

POLICJA INFORMUJE

HORROR

● 13 maja w Dąbrowie Górniczej (woj. katowickie) znaleziono w mieszkaniu ukryte w wersalce zwłoki Anny P. (lat 44).

● 16 maja w Żyrardowie (woj. skierniewickie) ośmioosobowa grupa mężczyzn wtargnęła do mieszkania Grażyny F. i pobiła śmiertelnie przebywającego tam Marka S. Sprawcy zostali zatrzymani.

● 19 maja w Żaganiu (woj. zielonogórskie) na terenie parku znaleziono zwłoki Edwarda S. Ustalono 3 podejrzanych o zabójstwo: Aleksandra P. z Odessy, Pawła K. z Mińska i Igora G. z Chersonia. Aleksandr P. miał przy sobie dokumenty zabitego.

● 25 maja w m. Skórowo (woj. słupskie) na torowisku kolejowym znaleziono zwłoki Jana K. Policja ustaliła, że zamordowano go w mieszkaniu, a sprawcami są jego żona Genowefa oraz Mirosław A. Wymienieni załadowali zwłoki na wózek i zawieźli je na tory, by upozorować wypadek. Mirosław A. jest poszukiwany.

● Tego samego dnia w Warszawie znaleziono w mieszkaniu zwłoki nieznanej kobiety leżące na łóżku w stanie daleko posuniętego rozkładu, ze związanymi rękami i nogami. W trakcie czynności policjanci ujawnili pod leżącymi na podłodze przedmiotami rozebrane zwłoki mężczyzny z ranami kłutymi klatki piersiowej i głowy.

HORROR RODZINNY

● 21 maja w Krzywokleszczu (woj. gorzowskie) Grażyna K. (lat 37) po dwudniowej nieobecności w swoim domu ugodziła nożem w okolicę serca męża. Stefan K. (lat 42) zmarł po przewiezieniu do szpitala.

● 26 maja w m. Pruszki Wielkie (woj. łomżyńskie) Edyta P. podczas awantury rodzinnej, zadała 2 ciosy nożem swojemu mężowi Zbigniewowi, powodując jego zgon. Sprawczyni została aresztowana.

DZIECIOBÓJSTWA

● 18 maja w Przekolnie (woj. gorzowskie) Jan M. (lat 35) zawinął swoje nowo narodzone dziecko w papierowy worek i zakopał w kojcu dla trzody. Sprawcę zatrzymano.

● 21 maja w Przeworsku (woj. przemyskie) na brzegu rzeki znaleziono w torbie podróżnej zwłoki Wojciecha Cz. (lat 2). Sprawczynię zabójstwa, Krystynę Cz. (lat 31) — matkę dziecka, przewieziono do szpitala psychiatrycznego.

● 26 maja w m. Laskowa (woj. nowosądeckie) Małgorzata D. (lat 21) odbyła poród na zapleczu kuchennym restauracji, a następnie noworodka włożyła do reklamówki i schowała do szafy w szatni. Pomimo intensywnej terapii dziecko zmarło 27 maja.

ZUCHWAŁE NAPADY

● 14 maja w Lubinie (woj. legnickie) podczas sprzedaży swojego po-

Stowarzyszenie „Rodzina Policyjna 1939" proponuje wszystkim chętnym pamiątkową srebrną odznakę „Rodziny Policyjnej 1939" z grudką ziemi z Miednoje.

Zainteresowanych kupnem odznaki prosimy o przesłanie 60 000 zł na konto:
PKO BP I Oddział w Katowicach nr 27515-475550-132 lub kontakt z Zarządem Ogólnopolskim „Rodzina Policyjna 1939" Katowice, ul. Lompy 19, KWP.

Po dokonaniu wpłaty na konto Zarząd Ogólnopolski prześle odznakę pocztą.

Śladem naszych artykułów

„DETEKTYWI POD LUPĄ"

Podzielę się kilkoma refleksjami związanymi z bardzo dobrym materiałem pt. „Detektywi pod lupą" („MK" nr 7/92). Czas najwyższy, aby zagadnienie zostało podjęte i przedyskutowane. (...) Problemy, które sygnalizuję, wynikają z 3-letniej współpracy z różnymi firmami detektywistyczno-ochroniarskimi. Nadmieniam, że skończyłem Wydział Prawa i Administracji UW. Okres ostatnich 3 lat wykorzystałem na stałe podnoszenie kwalifikacji „ochroniarskich". (...)

Należy się zastanowić dlaczego doprowadzono do absolutnego chaosu i komu on służy? Jakie działania podjęły organy odpowiedzialne za funkcjonowanie firm ochroniarskich dla wypracowania jasnej, czytelnej koncepcji?

Oto moje uwagi wynikające z doświadczeń w pracy w ochroniarstwie:
1. Spółki ochrony mienia w większości są nastawione na robienie szybkich i dużych pieniędzy kosztem swoich pracowników i zleceniodawców. Aktualnie płacą pracownikowi ok 1/3 sumy uzyskanej od zleceniodawcy. Pracownicy (agenci) ochrony pracują na umowy-zlecenia (podpisywane na okres 29 dni, aby nie odprowadzać ubezpieczenia). Rzadkością stały się etaty. Teraz przyjmowani są ludzie na bardzo niskie stawki, którym brak przygotowania fizycznego i psychicznego, co nie gwarantuje wywiązania się z umowy ze zleceniodawcą.

2. W większości firm pracownicy (agenci) nie przechodzą żadnych szkoleń czy instruktaży, nie są więc przygotowani do czekających ich zadań.

Rezultaty to częstokroć opisywane nieprofesjonalne zachowanie się pracowników ochrony w sytuacjach niebezpiecznych.

3. Brak należytej osłony socjalnej i prawnej agenta. W większości przypadków nie ubezpieczeni agenci nie znają swojej sytuacji prawnej. (...)

A oto moje propozycje:

a) opracować system licencji i książeczek pracy ochroniarza i detektywa. Po zakwalifikowaniu kandydata i uzyskaniu licencji detektywa, ochroniarza lub detektywa prywatnego (licencje mogą być czasowe oraz płatne) kandydat może zgłosić się do pracy w firmie. W pracy następuje proces eliminacji kandydatów, którzy nie mają odpowiedniej motywacji lub postawy moralnej.

Przy braku dyscypliny i naruszeń przepisów odpowiednia komisja cofałaby licencje. Właściciel firmy wpisywałby do książeczek pracy opinie i uwagi dotyczące toku pracy.

b) wdrożyć i opracować system szkoleń i kursów podnoszących systematycznie kwalifikacje agentów ochrony i detektywów. Licencje i świadectwa powinny być uznawane przez Policję i MSW.

c) opracować projekt prawnego unormowania statusu agenta ochrony i detektywa prywatnego (ranga ustawy bądź rozporządzenia Rady Ministrów).

d) zastanowić się nad cenzusem wykształcenia, bo w tej profesji decydującą rolę spełniają szare komórki.

e) wykorzystać doświadczenia i unormowanie z USA i Europy Zachodniej.
f) kontrolować firmy pod kątem merytorycznym i finansowym.
(...)

Wiele osób (w tym funkcjonariusze) odradzało mi podejmowanie tego zagadnienia, gdyż znając życie radzili, że na razie nie rozbije się mocnych układów scementowanych przez pieniądze. (...) Jak zapewne wiadomo, wielu b. i aktualnych funkcjonariuszy zarabia „na ochronie" duże pieniądze.

Taki stan rzeczy nie służy ani podnoszeniu bezpieczeństwa, ani ochronie społeczeństwa. (...)

stały czytelnik
KRZYSZTOF WASIAK

loneza Sławomir O. został pobity i wyrzucony z pojazdu przez 2 mężczyzn. Podczas jazdy próbnej sprawcy (prawdopodobnie Cyganie) skradli też dokumenty wozu.

● Tego samego dnia w Warszawie do mieszkania adwokata Zbigniewa J. weszło pod pretekstem, że są umówieni, 2 mężczyzn, którzy grożąc nożem związali gospodarza i zrabowali 15 tys. dolarów i złotą biżuterię.

● 18 maja w Łodzi w bramie przejściowej obezwładniona została gazem łzawiącym Maria Z., współwłaścicielka PPHU „Vilemar". Sprawcy zrabowali jej torbę z gotówką w kwocie 100 mln zł i różne dokumenty.

● 24 maja w Gryficach (woj. szczecińskie) do nie zamkniętego mieszkania Janiny Cz. (lat 61) wszedł mężczyzna, który podszedł do leżącej na łóżku właścicielki-inwalidki z niedowładem rąk i nóg i zrzucił ją na podłogę. Sprawcy (następnie wszedł jego wspólnik) skradli telewizor i 500 tys. zł.

NAPADY NA KANTORY

● 21 maja w Zielonej Górze 3 mężczyzn sterroryzowało pistoletem kasjera Artura S., po czym zrabowało 150 mln zł i 200 marek. Sprawcy uciekli samochodem.

● 22 maja w Chojnicach (woj. bydgoskie) dokonano napadu na kantor Mirosława Z. Nieznani sprawcy sterroryzowali właściciela bronią palną, i okradli na sumę przeszło 850 mln zł.

KIDNAPING

● 18 maja w Piotrkowie Tryb. Siergiej R. (ob. Ukrainy) uprowadził sprzed bloku Małgorzatę Sz. oraz jej 3-letniego syna. Sprawca terroryzując matkę dziecka nakazał jej kierowanie samochodem marki BMW. Po oddaniu strzału ostrzegawczego policjanci zatrzymali porywacza.

GANGSTERSKIE PORACHUNKI?

● 18 maja w Rybniku (woj. katowickie) ujawniono włamanie do mieszkania Zenona B. Sprawcy podpalili jeden z pokoi oraz pomieszczenie pracowni dziewiarskiej. Straty wynikające z pożaru sięgają 500 mln zł.

● 27 maja w nocy w Legnicy pod barakowozem-strzelnicą sportową nastąpił wybuch ładunku niewiadomego pochodzenia, który zdetonowano prądem. Straty szacuje się na ok. 20 mln zł.

SOKIŚCI PRZESTĘPCAMI

● 17 maja w nocy na dworcu PKP w Małkini (woj. ostrołęckie) w pociągu do Ostrołęki napadnięto na Ludmiłę O., Andrieja U. i Jelenę P. (obywatele Rosji). 2 sprawców wpuściło gaz łzawiący do przedziału i grożąc użyciem broni zabrali im alkohol i 50 dolarów. Ustalono, że sprawcami są Krzysztof D. i Janusz F., funkcjonariusze SOK w Małkini. Osadzono ich w policyjnej izbie zatrzymań.

PODEJRZANI DETEKTYWI

● 19 maja w Poznaniu stwierdzono zgon Waleriana Ch. (lat 28) na skutek obrażeń doznanych w wyniku upadku z II piętra. Ustalono, że przed wypadkiem przyszli do niego 2 pracownicy spółki „Sekuritate", którzy mieli doprowadzić Waleriana Ch. do właściciela hurtowni serów „Promotor", w której denat był magazynierem i nie rozliczył się z towaru. Ryszard N. i Dariusz S. (pracownicy „Sekuritate") zostali zatrzymani.

NAPAD W HOTELU

● 18 maja w Katowicach w hotelu „Katowice" do pokoju zajmowanego przez Holendra Adrianusa L. wtargnęło 2 mężczyzn. Napastnicy związali go prześcieradłem i okradli.

SKOK „LEGALIZACYJNY"

● W nocy z 20 na 21 maja w Ostrowie Lub. (woj. lubelskie) włamano się do komisariatu Policji oraz mieszczącego się w tym budynku urzędu miasta i gminy. Skradziono 2 czapki policyjne, 2 mundury, 2 pary kajdanek i czyste druki procesowe, a także 53 czyste blankiety dowodów osobistych i suche pieczęcie.

oprac. MAT

997

KRONIKA

Pod redakcją
HANNY ŚWIESZCZAKOWSKIEJ
I ZBIGNIEWA RAZMUKA

WYCHOWANKA DOMU DZIECKA

19 września 1990 r. o godz. 8.00 przy autostradzie prowadzącej do Szczecina przypadkowi grzybiarze znaleźli zwłoki kobiety. Przybyła na miejsce grupa operacyjno-dochodzeniowa z lekarzem medycyny sądowej i prokuratorem ustaliła, że przy trasie E 3, po prawej stronie autostrady (jadąc w kierunku Szczecina), na 88 km w odległości 20 m od szosy znajdują się całkowicie obnażone zwłoki kobiety. Były ułożone na lewym boku, na trawie, przykryte darniną, igliwiem i drobnymi gałązkami. Ani przy denatce, ani w rejonie ujawnienia zwłok nie znaleziono żadnych przedmiotów umożliwiających identyfikację.

Zmarła miała wiele obrażeń: otarcia naskórka, zasinienia i podbiegnięcia krwawe, uszkodzenia skóry. Zgon musiał nastąpić między północą a drugą w nocy 19 września, prawdopodobnie w wyniku uduszenia.

Za pomocą wywiadu daktyloskopijnego ustalono, że ofiarą jest Anna Susłow, urodzona w 1968 r., ostatnio zamieszkała w Szczecinie.

W trakcie śledztwa świadkowie zeznali, że na krótko przed zabójstwem Anna Susłow chodziła ubrana w sukienkę ciążową koloru zgniłej zieleni albo w białą bluzkę — tunikę ze ściągaczami przy szyi, w pasie i przy długich rękawach oraz w marszczoną spódnicę z bordowego aksamitu. Miała też czarne rajstopy bez stóp, białe skarpetki, czarne sztruksowe buty oraz białą torbę ze skaju na długim pasku. Wymienionych przedmiotów nie znaleziono przy denatce. Zachodzi podejrzenie, że sprawca zabójstwa przywłaszczył je lub ukrył.

Przyjęto, że morderstwa nie dokonano w lesie, gdzie zwłoki zostały ujawnione, lecz najprawdopodobniej w mieszkaniu lub samochodzie. Wskazuje na to m.in. tryb życia Anny, która utrzymywała szerokie kontakty towarzyskie na terenie Szczecina.

Zamordowana była wychowywana w domu dziecka. Przebywała też w zakładzie poprawczym, gdzie urodziła dziecko. Pozostawiła je do wychowania na koszt państwa.

Od roku 1988 mieszkała w Szczecinie u swojego przyjaciela Roberta O., przy ul. Bolesława Śmiałego. Oboje wszczynali często awantury i bójki pod wpływem alkoholu. Nietrzeźwa Anna Susłow była agresywna. Nie cieszyła się sympatią współlokatorów.

Najprawdopodobniej od czerwca do lipca 1990 r. wraz z innymi dziewczynami trudniła się nierządem „pod opieką" Ryszarda M. W lipcu przeprowadziła się do wynajętego mieszkania przy ul. Mazurskiej. Mieszkała tam ok. dwóch tygodni.

W związku z widoczną ciążą Anna Susłow starała się o miejsce w Domu Samotnej Matki w Karwowie k. Kołbaskowa. Udała się tam na rozmowę 8 września 1990 r. i uzgodniła termin przybycia na 17 września.

16 września widziano ją w godzinach wieczornych na ul. Bolesława Śmiałego, skąd udała się najprawdopodobniej na ul. Mazurską. Poprzedniego dnia przebywała w mieszkaniu przy ul. Wielkopolskiej. Noc z 15 na 16 września spędziła najprawdopodobniej w mieszkaniu Leszka D. przy ul. Mazurskiej. Noc z 16 na 17 września spędziła u Marka L., zamieszkałego w Szczecinie przy ul. Armii Czerwonej. Następnego dnia ok. południa przyszła do miejsca pracy Roberta O. i umówiła się na godz. 15.00, lecz na umówione spotkanie nie dotarła. Nie pojechała też do Domu Samotnej Matki w Karwowie.

Tego dnia natomiast między godz. 19.00 a 20.00 przebywała w towarzystwie znajomej i dwóch mężczyzn w pokoju nad piekarnią przy ul. Żółkiewskiego. Następnie późnym wieczorem spotkała się z Robertem O., któremu przekazała rozerwaną bluzkę ukradzioną gospodarzowi pokoju nad piekarnią.

Następnego dnia, tzn. 18 września, zjawiła się nad ranem w mieszkaniu Zdzisława G. przy ul. Rewolucji Październikowej. W ciągu dnia wypiła z gospodarzem 2 piwa i 1 wino. Wieczorem Zdzisław G. zasnął, a kiedy obudził się ok. 1.00, 19 września, jego towarzyszki nie było już w mieszkaniu. Zostawiła na gazecie zapis: „wzięłam twoją skórkę, zaraz wracam". W rzeczywistości gospodarz stwierdził brak kilku rzeczy, tzn. tureckiej bluzy ze spodniami koloru jasnobeżowego, ciemnobrązowej skórzanej marynarki, uszkodzonej damskiej parasolki i białej reklamówki z niebieskimi wzorami.

Okradziony poszukiwał bez skutku Anny Susłow po znanych mu melinach. Tego samego dnia, tzn. 19 września, zgłosił w KRP Szczecin-Niebuszowo o kradzieży na jego szkodę.

Tyle stwierdzono w toku śledztwa. Wiadomo jednak, że Anna Susłow kontaktowała się także z osobami dotąd nie ustalonymi i że w rozmowach ze znajomymi podawała nieprawdziwe dane dotyczące czasu i miejsc jej pobytu.

KTO ZABIŁ RZEŹBIARZA?

10 sierpnia 1990 r. przed południem ujawniono w Warszawie w Lesie Kabackim zwłoki Leszka Kowalewskiego. Ciało zamordowanego posiadało 41 ran i do miejsca znalezienia zostało przemieszczone, lecz skąd — dotąd nie ustalono.

Leszek K. mieszkał w Śródmieściu Warszawy, był rencistą i rzeźbił. Robił to nie tylko z zamiłowania, ale także dla pieniędzy. W komórce obok mieszkania posiadał warsztat, który odwiedzało wiele osób.

Leszek Kowalewski był stałym bywalcem okolicznych kawiarni i miał szeroki krąg znajomych. Ostatni raz za życia widziany był 9 sierpnia ok. godz. 11.00 przed kawiarnią „Miodek". Wcześniej tego dnia był u niego w mieszkaniu jakiś mężczyzna, z którym gospodarz wypił butelkę wina. Mężczyzny tego nie udało się odnaleźć.

Dotąd nie ustalono motywów tego zabójstwa. Jednak w dwa tygodnie po jego ujawnieniu zadzwoniła do Komendy Rejonowej Policji Warszawa-Mokotów kobieta, która powiedziała, że posiada informacje na ten temat. Przedstawiła się jako dziennikarka i stwierdziła, że ok. trzech miesięcy przed swoją śmiercią Leszek K. przekazał jej napisany przez siebie list. Prosił, by w razie jego nagłego wypadku lub śmierci otworzyła ten list, a dowie się o przyczynach. Kobieta zapowiedziała, że następnego dnia przywiezie list do KRP na Mokotowie, lecz do dzisiaj tego nie uczyniła. Dlaczego?

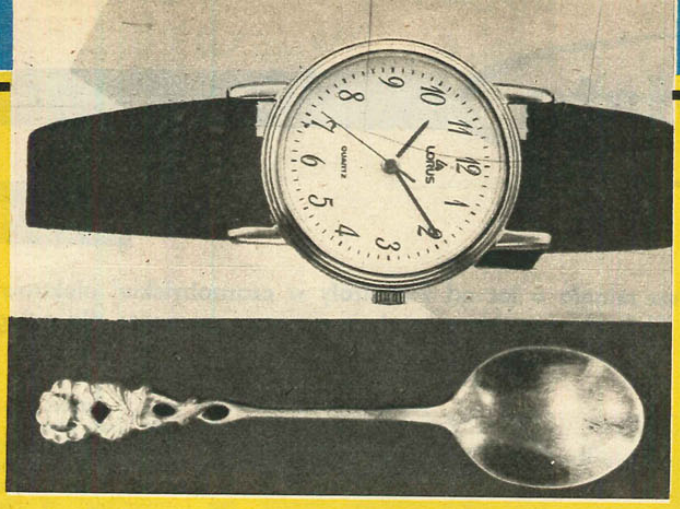

NA TLE RABUNKOWYM?

3 stycznia 1990 r. ok. godz. 19.00 Anna B. dokonała tragicznego odkrycia. Kiedy przyszła do jednorodzinnego domku swojej córki Olgi w Szczecinie, zastała ją bez życia. Ślady wskazywały, że mieszkająca samotnie 40-letnia lekarka weterynarii została zamordowana na tle rabunkowym. Przy nogach ofiary leżały także zwłoki pudla z poderżniętym gardłem.

Obnażone zwłoki znajdowały się w sypialni na piętrze. W czasie oględzin lekarz stwierdził na jej ciele powierzchowne rany cięte brzucha oraz klatki piersiowej. Bezpośrednią przyczyną zgonu było zadzierzgnięcie, śmierć nastąpiła przypuszczalnie 2—3 doby przed oględzinami.

W mieszkaniu ujawniono także wiele śladów biologicznych i linii papilarnych. W holu na skrzyni leżała słuchawka ze sznurem wyrwanym z aparatu telefonicznego, w łazience nad wanną wisiały wyprane spodnie dżinsowe, na których ujawniono ślady krwi. W kuchni w zlewozmywaku znaleziono portfel plastykowy z nadpalonymi fotografiami, zapiskami, dokumentami i ofertami matrymonialnymi.

Mieszkanie było splądrowane, lecz nie znaleziono śladów włamania. Z mieszkania zginęły wartościowe przedmioty, m.in.: złoty zegarek damski ze złotą bransoleta marki Lorums Golden, zegar ścienny o kształcie zegarka na rękę wraz z szerokim pasem, biżuteria złota i srebrna (łańcuszki, obrączki), sztuczna biżuteria, 4 łyżeczki do herbaty z żółtego metalu, mały aparat fotograficzny z lampą błyskową, 2 radioodbiorniki prod. RFN z zegarkami elektronicznymi, pilot automatyczny do telewizora Panasonic.

W czasie nieobecności lekarki domem zawsze opiekował się sąsiad. Po jej powrocie z zagranicy sąsiad przez dwa dni nie oddawał kluczy, bo rzekomo zaginęły. Olga B. stwierdziła, że z mieszkania zginął komplet porcelanowy, dyplom i inne drobiazgi. Podejrzewała, że przedmioty te skradł syn znajomego, karany już za przestępstwa kryminalne.

Jedna z sąsiadek zeznała, że widziała Olgę B. 30 grudnia 1989 r. około południa, kiedy ta wracała swoim samochodem do domu. Przyjąć zatem należy z dużym prawdopodobieństwem, że zabójstwa dokonano tego samego dnia po południu lub wieczorem, ponieważ nie przyszła już do sąsiadów na umówioną wizytę w sprawie leczenia psa. Tego dnia wieczorem nikt już nie widział zapalonego światła przed domem lub w mieszkaniu lekarki.

TAJEMNICZA ŚMIERĆ DOZORCY

26 czerwca 1990 r. Komenda Rejonowa Policji w Bolesławcu została powiadomiona o znalezieniu zwłok dozorcy przedszkola Władysława O. Ciało odkryły pracownice, które przyszły rano do pracy. Tragicznie zmarły, mimo 71 lat, cieszył się za życia dobra sprawnością fizyczną i pracował w tym przedszkolu jako strażnik Spółdzielni Ochrony Mienia w Bolesławcu.

Na miejsce zdarzenia przybyła grupa operacyjno-dochodzeniowa, lekarz i prokurator. Stwierdzono, że śmierć nastąpiła gwałtownie, o czym świadczyły liczne obrażenia oraz wyniki przeprowadzonej sekcji zwłok. Wykazały one, że bezpośrednią przyczyną śmierci było uduszenie.

Zwłoki znaleziono w korytarzu przedszkola ułożone na ławce w pozycji półsiedzącej. Przy denacie leżała torba zawierająca m.in. białe damskie rajstopy elastyczne oraz dwie chusteczki do nosa zabarwione brunatnymi plamami. Zamordowany miał na ręku zegarek, a w kieszeniach 47 tysięcy zł.

W jednym z pomieszczeń przedszkola ujawniono na podłodze jednostronicowy kalendarz ścienny z odbitym śladem podeszwy obuwia, niewielkie pojedyncze krople krwi oraz krótki sznurek. Plamy krwi były także na ścianie. Okno w tym pomieszczeniu było uchylone, co mogło mieć znaczenie, ponieważ budynek jest parterowy.

Żmudne czynności procesowe nie doprowadziły dotąd do ujęcia sprawcy lub sprawców zabójstwa Władysława O. Nie pomogły apele o pomoc w śledztwie do miejscowego społeczeństwa, zamieszczane przez prokuraturę w w lokalnej prasie.

Kilka dni po tragicznym zdarzeniu, 1 lipca 1990 r. wieczorem zgłosiła się do wdowy po zamordowanym kobieta, która twierdziła, że jest prokuratorem z Wrocławia. Chciała uzyskać informację na temat zabójstwa Władysława O., lecz szybko odeszła, gdy wdowa zorientowała się, że tajemnicza kobieta nie jest prokuratorem. Poszukiwania tej kobiety nie dały efektów.

Nie zdołano w trakcie śledztwa wykryć motywów tej zbrodni, nie ustalono pochodzenia rajstop i chusteczek znalezionych przy denacie. Stwierdzono jedynie, że z przedszkola nie zginęły żadne wartościowe przedmioty.

Ktokolwiek mógłby udzielić informacji w powyższych sprawach proszony jest o telefoniczny lub listowny kontakt z naszą redakcją, Departamentem Policji Kryminalnej KGP lub z najbliższą jednostką Policji.

SZUKAM SIOSTRY

Zwracam się z uprzejmą prośbą o pomoc w odnalezieniu mojej siostry Eugenii Doberstein, c. Leonarda i Heleny z d. Lach urodzonej 8 lutego 1921 r. w Woli Sosnowej pow. Włocławek, zamieszkałej ostatnio w Kamieńcu poczta i gmina Topólka woj. Włocławek, która w maju 1946 r. wyszła z domu i dotychczas nie wróciła.

Siostra i ja jesteśmy narodowości niemieckiej. Spowodowało to po wojnie różne szykany wobec nas ze strony władzy komunistycznej. Między innymi na skutek donosu jednego z mieszkańców Izbicy Kujawskiej na początku kwietnia 1946 r. siostra została aresztowana przez milicję z Topólki, a następnego dnia przewieziona na posterunek milicji w Izbicy Kuj., po czym przewieziono ją do Koła, woj. konińskie.

W połowie lub końcu kwietnia 1946 r. siostra zwolniona została z aresztu. Stało się to za sprawą milicjanta, który był naszym dobrym znajomym jeszcze z czasów okupacji niemieckiej. Zwolnienie z Koła było prawdopodobnie nielegalne, ponieważ siostra nie wróciła do domu w Kamieńcu w obawie przed ponownym aresztowaniem. Przez około miesiąc ukrywała się w majątku Głuszyn gm. Bytoń woj. Włocławek u naszej starszej siostry Olgi Redz.

W połowie maja 1946 r. w związku z przygotowaniami do referendum, ja zostałam zatrzymana i strasznie pobita na posterunku milicji w Topólce. Gdy Eugenia dowiedziała się o tym, opuściła dom siostry, nie mówiła gdzie się udaje. Pisała do nas listy, ale w obawie przed aresztowaniem nie podała swojego adresu, otrzymywaliśmy je za pośrednictwem właściciela majątku Głuszyn.

W jednym z ostatnich listów siostra pisała, że poznała „dobrego kolegę", za którego ma zamiar wyjść za mąż. Czy jednak tak się stało, tego nie wiem.

W latach siedemdziesiątych poszukiwałam siostry za pośrednictwem Polskiego Czerwonego Krzyża, ale otrzymałam odpowiedź, że nasz brat Reinhold Doberstein, zam. w Kappellen n. Renem w RFN w czasie postępowania spadkowego po ojcu podał, że siostra nie żyje.

Dowiedziałam się też od Polskiego Czerwonego Krzyża, że siostra nie była przez nich poszukiwana, ponieważ nie zginęła w czasie okupacji, a po wojnie rodzina miała z nią kontakt.

W tej sytuacji nie mam możliwości poszukiwania siostry we własnym zakresie i dlatego proszę Was o pomoc.

W załączeniu dla ułatwienia poszukiwań przesyłam zdjęcie siostry wykonane w 1943 r. lub 1944 r.

Wierzę, że podjęte przez Was działania, w szczególności publikacja zdjęcia siostry i historii jej ostatnich kontaktów z naszą rodziną pozwoli na odnalezienie siostry lub przynajmniej na ustalenie jej losów.

Marta Nowak
87-700 Aleksandrów Kuj.
ul. Piłsudskiego 1

Niemcy

OCHRONA TAJEMNICY

W RFN czynnościom sprawdzeniowym podlegają osoby zatrudnione w urzędach i instytucjach mające dostęp do dokumentów i materiałów począwszy od stopnia tajności „poufne". Takim samym sprawdzeniom podlegają osoby, mające potencjalną możliwość wejścia w posiadanie tajnych wiadomości przez fakt ich przewożenia (gońcy, kurierzy), pracownicy ochrony itp.

Sprawdzeniom nie podlegają natomiast osoby mające do czynienia z materiałami o stopniu tajności „do użytku służbowego".

Podstawą prawną do przeprowadzenia sprawdzeń jest ustawa o Urzędzie Ochrony Konstytucji wraz z odpowiednim paragrafem Federalnego Kodeksu Karnego.

Dokonywanie sprawdzeń odbywa się za wiedzą danej osoby. Podstawą sprawdzenia jest wypełniona przez osobę ankieta.

Sprawdzenia obejmują:

— wystosowanie zapytania do Centralnego Rejestru Federalnego i systemu elektronicznego gromadzenia danych o obywatelach RFN (NADIS);

— wystosowanie zapytania do placówek policyjnych w miejscu zamieszkania (w okresie ostatnich pięciu lat);

— sprawdzenie tożsamości (dowód, paszport);

— w razie potrzeby, rozmowy z osobą sprawdzaną lub osobami, z którymi utrzymywała kontakty;

— potwierdzenie danych przez osoby udzielające referencji;

— sprawdzenie danych dotyczących znajomych sprawdzanej osoby w systemie NADIS.

W efekcie czynności sprawdzeniowych dane osoby sprawdzanej, współmałżonka i dzieci (jeżeli osiągnęły już pełnoletność) zostają zarejestrowane w NADIS i systematycznie są uzupełniane przez Urząd Ochrony Konstytucji i pełnomocnika do spraw ochrony tajemnicy. Urzędy administracji państwowej mają również obowiązek zgłaszania zaistniałych zmian.

P.

USA

17 LAT WIĘZIENIA ZA NIEWINNOŚĆ

Dwóch mężczyzn pomyłkowo skazanych przez sąd kalifornijski na dożywotnie pozbawienie wolności w 1975 roku za zabójstwo policjanta, zostało wypuszczonych na wolność po odsiedzeniu w więzieniu 17 lat. Obie ofiary pomyłki sądowej: Murzyni Clarence Chance i Benjamin Powelle, liczący obecnie 42 oraz 44 lata, oskarżeni zostali o zabójstwo w 1973 roku amerykańskiego policjanta, zastępcy szeryfa Davida Andrewsa. W 1975 roku, opierając się na zeznaniach trzech białych dziewczyn, sąd w Kalifornii wymierzył im wyroki dożywotniego pozbawienia wolności.

Dochodzenie wszczęte niedawno przez prywatnego detektywa McCloskey'a całkowicie obaliło zeznania świadków oskarżenia i wykazało, że dziewczyny zostały skłonione przez oficerów śledczych policji Los Angeles do złożenia fałszywych zeznań.

(om)

Ukraina

26 kwietnia minęło 6 lat od katastrofy w czarnobylskiej elektrowni jądrowej. Wybuch w reaktorze stał się groźnym memento dla całego świata.

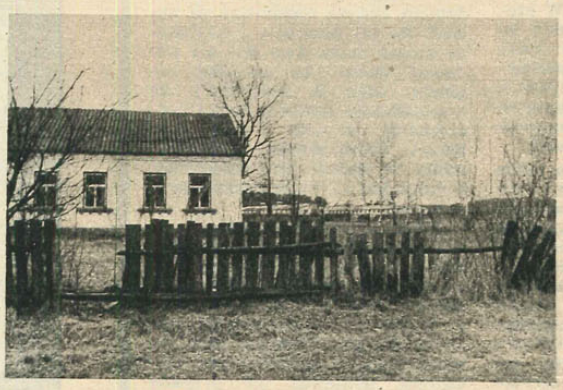

Tamtej ciepłej nocy 1986 roku pierwsi na miejscu katastrofy znaleźli się strażacy. Później przybywali żołnierze i milicjanci. W ciągu 6 minionych lat przez strefę czarnobylską przewinęło się tysiące ludzi. Dziś jest ich tam tylu, ilu potrzeba. Obok specjalistów z zakresu atomistyki, budowlanych i pracowników elektrowni, w strefie pracują również funkcjonariusze ukraińskiej milicji i straży pożarnej.

Ich zadaniem jest ochrona bezpieczeństwa i porządku publicznego, kontrola ruchu drogowego itp. Odbywa się ona jednak w strefie zwiększonej radioaktywności rozciągającej się na obszarze 7 tys. km² wokół elektrowni atomowej. Całe to terytorium podzielono na dziesięcio- — lub trzydziestokilometrowe strefy w zależności od stopnia skażenia.

Żeby się tu dostać konieczna jest przepustka. Przy wjeździe i wyjeździe posterunki sprawdzają też stopień napromieniowania. Jeśli przewyższa on normę, można rozstać się z radioaktywną odzieżą, samochodem, jakimkolwiek przedmiotem. Pozostanie on w „strefie" — przepisy są surowe.

Punkt kontrolny w wiosce Ditiatki. W pierwszych 2—3 latach po katastrofie przez punkt ten dwoma nieustannymi potokami przesuwali się ludzie i technika. Teraz jest tutaj znacznie spokojniej. Przed szlabanem stoi kilka samochodów z pracującymi w elektrowni specjalistami. Podają swoje przepustki, później poddani są kontroli dozymetrycznej.

Punkt kontrolny pracuje okrągłą dobę. W każdym momencie strefa specjalna zażądać może nowych fachowców i techniki. Milicjanci muszą zapewnić im przejazd, poddać kontroli, zarejestrować dane. Ich zadaniem jest również nie dopuścić do wywozu skażonych maszyn, urządzeń czy dobytku. Niektórzy cwaniaczkowie usiłują wyszabrować cenniejsze przedmioty i sprzedać je w głębi kraju nieświadomym

W pierwszych latach po katastrofie obowiązywały maski

CZARNOBYL

PO SZEŚCIU LATACH

niebezpieczeństwa klientom. Po meble czy obrazy przyjeżdżają też wysiedleni mieszkańcy strefy... Tych pierwszych traktuje się tak, jak na to zasługują, są bowiem przestępcami. Drugich, przesiedleńców, łagodniej: odbiera im się ich własne, ale skażone rzeczy, napomina, przestrzega.

A oto i Czarnobyl. Puste ulice, rozebrane domy... W komendzie rejonowej służy 70 funkcjonariuszy. Oprócz samego miasta obsługują również pobliską Pripiat i Zielonyj Mys. Pozostałe terytorium strefy znajduje się pod kontrolą pułku patrolowego.

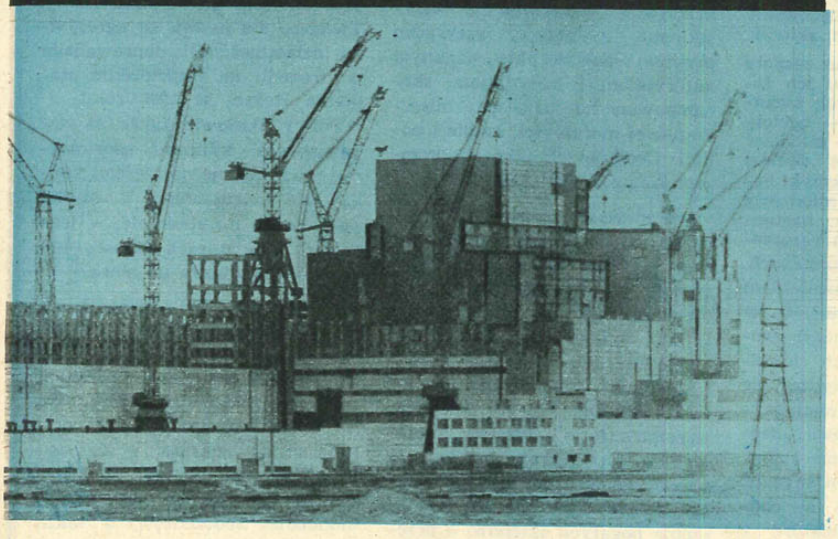

Milicjantów absorbują kradzieże w hotelach robotniczych, gdzie mieszkają wciąż zmieniający się pracownicy. Ponadto muszą pilnować znajdujących się w strefie 600 dołów, gdzie zakopano skażone samochody, ciągniki, śmigłowce, urządzenia. To śmiercionośne żelastwo przyciąga szabrowników.

W czarnobylskiej strefie specjalnej żyją również dawni mieszkańcy, którzy nielegalnie wrócili z przesiedlenia. Mieszkają w swych starych domach, prowadzą gospodarstwa. Sądzą, że najgorsze minęło, nie boją się śmierci. Milicjanci wiedzą, że „samosiełom" nie wolno tu pozostać. Lecz jak przekonać osiemdziesięcioletnią staruszkę, która przeżyła wojnę, że skażenie ciągle istnieje, choć przecież go nie widać? Funkcjonariusze pomagają więc „samosiełom", jak mogą. Wyremontują chatę, naprawią telewizor... Nawet w tej strefie życie ma swoje prawa.

Po katastrofie w elektrowni, w likwidacji jej następstw wzięło udział 33 tysiące funkcjonariuszy milicji, strażaków i żołnierzy wojsk wewnętrznych. 2600 z nich uległo skażeniu przekraczającemu dopuszczalne normy. Przeszło 100 zmarło w wyniku radiacyjnych chorób. Niestety, nie wszędzie pamięta się o zmarłych, zapomina też o żywych uczestnikach likwidacji awarii. Dlatego funkcjonariusze organów spraw wewnętrznych Ukrainy, którzy przeszli przez czarnobylską strefę, powołali stowarzyszenie „Związek Czarnobyl". Ma ono walczyć o ich prawa określone w ustawie „O statusie i ochronie socjalnej ofiar czarnobylskiej katastrofy".

11 października 1991 roku Czarnobyl raz jeszcze przypomniał światu o swoim istnieniu. Wybuchł pożar drugiego bloku energetycznego. Gdy przybyli strażacy, ogień objął już turbogenerator, konstrukcję dachu i wyposażenie techniczne. Pojawiła się całkiem realna groźba przeniknięcia ognia do zasadniczej części reaktora. Tym razem powstrzymali ją strażacy.

tekst i foto Władimir Diechtiarenko (oprac. MAT)

Młodzieżowe podkultury

2

FASZYŚCI I NACJONALIŚCI

Faszyści jako odrębna formacja podkultury młodzieżowej, obecnie nie są widoczni. Można nawet zaryzykować stwierdzenie, że dzięki energicznym przedsięwzięciom służb odpowiedzialnych za bezpieczeństwo i porządek zaniechali działalności przestępczej. Nie ulega jednak wątpliwości, że niektórzy faszyści zasilili szeregi shinheadów. Skinheads (w języku angielskim znaczy „ostrzyżeni" lub skórogłowi). Inne nazwy to: skinersi, skins.

Genezy ruchu skinheads należy poszukiwać w latach sześćdziesiątych. Poważniejsze potyczki rockersów i modsów miały miejsce w Wielkiej Brytanii już w 1964 roku. Najgłośniejszym wydarzeniem było zaatakowanie wypoczywających na plażach mieszczuchów w święta wielkanocne. Zniszczono wiele krzeseł plażowych, wybito szyby wystawowe, a 30 osób odniosło rany.

Dopiero w kilka lat później wyniki badań socjologicznych określiły, że powodem zajść był wrogi stosunek społeczeństwa do ekscentrycznie wyglądających młodych ludzi. Poczuli się oni poniżani, gdyż np. manifestacyjnie odmawiano im miejsc w hotelach, w restauracjach obsługiwano ich na końcu lub wcale. Byli obywatelami drugiej kategorii.

Z związku z tym młodzież zaczęła poszukiwać nowych, samodzielnych form kontestacji. Spowodowało to integrację grup, band i komun provosów, potem hipisów kontestujących w różnych formach intelektualnie, a także agresywnie.

Wśród ruchów o charakterze agresywnym wyróżniali się także modsi. Część z nich, tzw. harmodsi zaczęli ubierać się bardziej praktycznie. Dżinsy, panterki, szelki oraz ciężkie, kute i wysoko sznurowane buty typu Doc Martens — „boots", a także strzygli krótko włosy — co było bardzo praktyczne w walce.

Pierwsze nazwy tego ruchu były różnorodne — np. bolled, cropheads eggs, peanuts, skulls. Jednak przyjęła się używana już wcześniej nazwa amerykańskich marines — skinheads.

Widoczni stali się w 1967 roku, a sławę zdobyli na boiskach angielskich w 1968 roku. Na meczach najsłynniejszych drużyn piłkarskich np. Tottenham, West Ham czy Chelsea zjawiało się nawet ok. 4 tys. skinów. Budzili podziw dyscypliną, organizacją i wyglądem. Natomiast w 1969 roku powstał ich hymn „Skinhead Moonstomp". Środki masowej informacji, a szczególnie pisma brukowe pisały wiele o ich wyczynach. Ale sława ta trwała tylko do 1972 roku.

Ponownie zjawili się na Kings Road w Londynie w 1976 roku, w czasie rewolucji punków. Zdziwieni przechodnie zobaczyli, że skinheadzi pomagają gangom punków oraz ich przeciwnikom Teddy Boys. Dopiero wtedy zauważono wyjątkową agresję, brutalność, ogolone głowy, poglądy nazistowskie i hitlerowskie symbole u odrodzonych skinów.

Życzliwe im angielskie zespoły muzyczne, po ogłoszeniu ich faszystami oraz po licznych awanturach na koncertach — odcięły się od skinów. Dopiero młodzież robotnicza zintegrowała skinów w ruch Oi. „Oi" to okrzyk będący pozdrowieniem młodzieży z dzielnic robotniczych, następnie stał się zawołaniem rozgrzewającym kibiców na stadionach, a obecnie jest także zawołaniem bojowym. Wprawdzie ruch Oi w Wielkiej Brytanii zakończył swoją działalność po rozruchach skinów z młodzieżą azjatycką, ale utrwalili oni swoją nacjonalistyczną i ultraprawicową ideologię. Zatem nikt się nie dziwi, że skini wykorzystywani są przez organizacje prawicowe w charakterze bojówek. Niektóre z tych organizacji zostały nawet przez nich założone np. w USA, RFN czy we Francji. Współdziałanie skinów z Ku-Klux-Klanem, American Front (USA) czy angielskim National Front nikogo nie szokuje.

Pierwsi angielscy skini pochodzili z najuboższych rodzin robotniczych. Wychowywali się w zdemoralizowanych i przestępczych środowiskach, w ubóstwie oraz wśród bezrobotnych alkoholików i prostytutek. Do dzisiaj deklarują solidarność z klasą robotniczą.

W wydawnictwach skinów tzw. skinzinach łatwo można wyczytać, że „walka jest istotą życia, a przemoc jej naturalnym przejawem". Natomiast gardzą słabymi i tchórzami.

Przeciwko komu i czemu buntują się skini? Właściwie łatwiej odpowiedzieć na pytanie, przeciwko komu się nie buntują. Swój bunt, agresję wyrażają przeciwko wszystkim i wszystkiemu, a przede wszystkim przeciw: powszechnie uznanym autorytetom i instytucjom, skorumpowanemu państwu, mieszczańskiej moralności, szkole i policji. Cechuje ich także bezkompromisowy antyklerykalizm.

Ich ideologia ukształtowała się na bazie trudności i bezsensu życia, z jakim się spotykali. Postanowili zatem być tak silni i brutalni, aby nie tylko przeżyć i nie poddać się, ale przede wszystkim, by budzić strach i nienawiść. Z tego względu charakterystyczna jest negacja wszelkich form i ideałów humanistycznych. Wyraża się ona w agresji wobec symboli mieszczańskiego dobrobytu, tj. przez niszczenie bogatych sklepów, a przede wszystkich ich wystaw, samochodów, w tym także policyjnych. Skinowie doskonale zdają sobie sprawę z negatywnego przystosowania, które prezentują społeczeństwu. Poszukują jednak wrogów, którzy są w jeszcze gorszym położeniu. Na Zachodzie są to przede wszystkim kolorowi.

Angielscy skinheadzi kierują swoją agresję szczególnie ku kolorowym imigrantom — bo zabierają im miejsca pracy; na Żydów i komunistów, ponieważ uważają, że całe zło jest przez nich; na hipisów i homoseksualistów — gdyż jak sądzą, reprezentują kaprysy znudzonych bogaczy; a także na ludzi starszych — gdyż są najbardziej odpowiedzialni za ich marny los.

Rodzimi skinheadzi także są negatywnie nastawieni do innych narodowości, a szczególnie do Żydów, Arabów i Afrykańczyków. Tych ostatnich nienawidzą pod pretekstem, że to od nich wywodzi się AIDS. Uzasadnienie swojego działania czerpią z ideologii faszystowskiej. Określają się jako naziści i częstokroć stosują nawet powitanie hitlerowskim gestem. Do ubrań przyczepiają hitlerowskie emblematy. Ten odłam podkultury to skini-faszyści. Jednym z głównych haseł jest oczyszczenie kraju z innych narodowości „aby nasza młodzież mogła dostać prace".

Kolejna aktywizacja ruchu skinheads nastąpiła w 1985 roku w Europie Zachodniej. Rozpoznanie działalności tej podkultury wskazuje, że rozprzestrzenia się ona przede wszystkim za pośrednictwem drugiego jej nurtu, tj. skinów-Oi, którzy określają się jako aktywni kibice piłki nożnej. Twierdzi się nawet, że agresywna działalność Oi doprowadziła do tragedii na brukselskim stadionie Heysel w 1985 roku.

Polscy skinowie także są zapalczywymi kibicami sportowymi, a ich emocje najczęściej kończą się naruszaniem porządku publicznego na stadionie, w jego pobliżu, na ulicach miasta lub w czasie przejazdu na mecz.

Polscy skini nie uważają się za faszystów. Twierdzą, że utożsamiają się z przedwojenną Polską Partią Radykalną. Wyznają ideę polskiego nacjonalizmu, czyli „Polski dla Polaków" i odcinają się od nazistów. W związku z tym są antagonistami „Solidarności", zwalczają anarchistów, monopole, zboczeńców, a także inne nurty młodzieżowe, tj. punków, satanistów i metalowców. Wprawdzie skini nigdy nie ulegają i nie poddają się, jak twierdzą, ale nigdy nie zaczepiają, a tylko bronią się przed atakiem innych. Nie są lubiani przez społeczeństwo, a szczególnie przez inne ugrupowania młodzieżowe. Swego czasu ruch „Wolność i Pokój" w jednej ze swoich ulotek oskarżał skinów, że są inspirowani przez Służbę Bezpieczeństwa.

Duma, honor i ojczyzna — wszystko to w odcieniu nacjonalistycznym — to kwintesencja ich ideologii. Trzeba jednak pamiętać, że ich podstawowym hasłem jest: „Jeśli nie będą się ciebie bać, będą się z ciebie śmiać". A to już nie przelewki.

(cdn.)

JERZY W. WÓJCIK

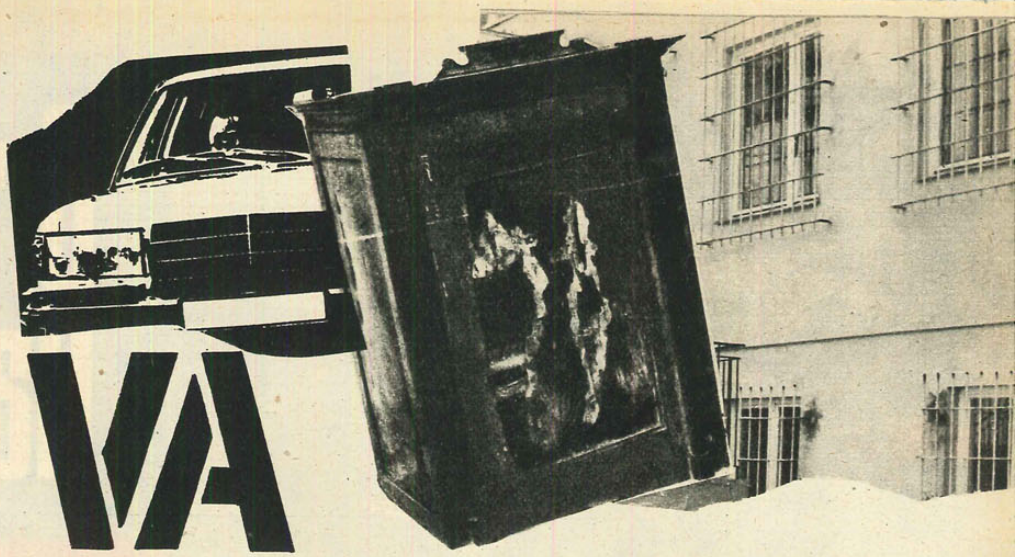

VA BANQUE

Cofnijmy się o rok, do grudnia 1991 roku. Więzienie w Stargardzie Szczecińskim. Jest ciemno, mija północ. Żaden z chodzących korytarzem strażników nie domyśla się nawet, że w jednej z cel Andrzej H., ps. „Gruby" kończy przepiłowywanie ostatniego pręta kraty okiennej. Kiedy w końcu mu się to udaje, odstawia żelastwo na bok, starając się nie robić hałasu. W celi ma już przygotowane powiązane ze sobą prześcieradła, po których spuszcza się z pierwszego piętra. Ponieważ jest grudzień, ma na sobie dwie pary kalesonów, osiem par skarpetek, które z trudem wcisnął w więzienne półbuty. Pod kurtkę włożył kilka koszul. Na zimnie jakoś da się wytrzymać, oby tylko wydostać się za mur.

„Gruby" przebiega spacerniak, potem tzw. pas śmierci i zarzuca zrobioną z prześcieradeł linę na mur okalający więzienie. Zaczyna się wspinać. W połowie drogi do szczytu oświetla go ślizgający się po terenie zakładu karnego reflektor.

Czyżby to już koniec? Nie! Postanawia piąć się dalej. Nie zważa na wezwania strażnika, jest coraz bliżej zwieńczenia muru. Pada pierwszy strzał ostrzegawczy. Jeszcze wyżej. Drugi strzał ostrzegawczy przecina powietrze. Jeszcze tylko kilkanaście centymetrów i...

Trzecia kula rozrywa mu płuco. Kilkanaście godzin później „Gruby" umiera w szpitalu.

Wszystko zaczęło się

również w grudniu, tylko, że rok wcześniej. Wtedy to Andrzej H., po bogatych przestępczych doświadczeniach postanawia skończyć z drobną przestępczą partaniną. Organizuje czteroosobową grupę, która ma wyspecjalizować się we włamaniach do kas pancernych. Tych, jak wiadomo, należy szukać w dobrze prosperujących przedsiębiorstwach, albo przynajmniej takich, które nie rozpoczęły jeszcze zwalniania pracowników. Wiadomo, że przed pierwszym ich kasy winny być pełne złotówek.

„Gruby" się nie myli. Tyko włamania do kas cukrowni w Ciechanowie, Małej Wsi (woj. płockie) i Starym Polu (woj. elbląskie) przynoszą zysk w wysokości trzech miliardów złotych. Mimo sporej inflacji dwa lata temu, to jednak był wielki szmal.

— Po upatrzeniu takiej cukrowni — mówi podejrzany Jerzy T. — zabieraliśmy się we czwórkę i jechaliśmy na miejsce. W nocy zakładu pilnował przeważnie kulawy wartownik i ślepy pies. Już wcześniej rozpracowaliśmy, gdzie jest forsa. Kasę wyciągaliśmy na środek pomieszczenia. Wtedy Tolek, spec od kas, zaznaczał kredą, w które miejsce walić młotem. Nie było siły. Pod ośmiokilogramowym uderzeniem pękały nawet przedwojenne kasy. Potem wystarczył łom i bebechy były na wierzchu.

— Jak dzieliliście pieniądze? Organizator skoku dostawał więcej, „fizyczny" mniej?

— Dzieliliśmy się po równo. Razem nadstawialiśmy skórę, to i razem braliśmy równe działki.

Mimo znacznych zysków

„Gruby" nie był zadowolony z przestępczego urobku.

— Niekiedy — dodaje Jerzy T. — naharowaliśmy się, jak dzikie osły, a wewnątrz kasy było tylko sto milionów.

Według „Grubego" wspólnicy byli mało wydajni. A to nie zawsze mieli czas, by jechać „na robotę", to znów bali się, że jak wpadną, to przyjdzie im odsiedzieć ładne wyroki.

Tak więc w marcu 1991 roku grupa zmieniła nieco profil działania. Koniec z robieniem kas. Członkowie gangu (których było już dwanaście osób) postanowili zająć się napadami. Nie polowali jednak na kasy pancerne. Tym razem po obezwładnieniu nocnego strażnika plądrowali teren zakładów, wywożąc z nich wszystko, co dało się sprzedać rzemieślnikom na czarnym rynku. Jednak wszyscy rozglądali się z utęsknieniem za okazją, która chwilę ryzyka opłaciłaby bardzo grubą gotówką. I taka okazja wkrótce się nadarzyła. Jeden ze znajomków grupy — Marian Z., wskazuje gdańskiego taksówkarza, który prócz zawodu trudni się nielegalnym skupem srebra i dewiz zachodnich. Według słów Mariana Z. facet codziennie trzyma w domu gotówkę nie mniejszą niż 2 miliardy złotych.

Kiedy członkowie grupy przygotowują się do napadu Marian Z. idzie do wskazanego wcześniej gangowi taksówkarza i ostrzega go przed napadem. Na co liczy? To proste. Wyjdzie gangowi, to na pewno dostanie od „Grubego" sporą działkę. Napad się nie uda, on już za informację o przygotowanym skoku zainkasował gotówkę od taksówkarza.

Zdzichu, jak znajomi nazywają taksówkarza, po kilku dniach orientuje się, że cały czas na „ogonie" siedzi mu jedno i to samo auto. Wie, że śledzący próbują w ten sposób rozpracować jego rozkład codziennych zajęć.

Kiedy po paru dniach, pod wieczór jedzie do domu, coś go niepokoi. Może to dziś tamci zrobią napad? Tak więc przed domem nie wprowadza samochodu do garażu, lecz po zatrzymaniu się woła znajomych stojących na podwórku wskazując śledzącego go dotąd mercedesa. „Gruby" i reszta widząc, co się dzieje, ulatniają się jak kamfora.

Pecha ma tylko

Jerzy T., który zostaje zatrzymany przy trefnym mercedesie przez wezwaną policję. Jednak z braku konkretnych dowodów udaje mu się wyjść na wolność. Jeśli zaś chodzi o samochód, oświadcza funkcjonariuszom, że auto nie należy do niego.

Wewnątrz wozu policjanci znajdują plastykową torbę wypchaną złotymi precjozami, zachodnie waluty i złotówki. W sumie jest tego na około 200 milionów złotych. W samochodzie odnaleziony jest również notatnik „Grubego". Zapisane tam adresy i telefony dają policjantom sporo do myślenia. W większości to lista przestępczego światka Trójmiasta.

Grupa „Grubego" powoli zostaje namierzona. W końcu od jednego z policyjnych agentów nadchodzi informacja, że tego dnia grupa zamierza balować w mieszkaniu przy ulicy... Zabawa jest rzeczywiście ostra. Przyjeżdżają policjanci z dochodzeniowo-śledczego. W jednej z szaf policjanci odnajdują pistolet kal. 6,35 na ostrą amunicję, pistolet gazowy i dubeltówkę.

Ponieważ sprawa zaczyna robić się coraz poważniejsza, pada decyzja zorganizowania w mieszkaniu zasadzki. Wpadają po kolei wszyscy członkowie gangu. Jeden z nich zaczyna opowiadać o napadach na cukrownie, zakłady itp.

Wszyscy lądują w areszcie tymczasowym, włącznie z „Grubym", który okazuje się, jest poszukiwany od roku listem gończym.

Potem nadszedł moment, kiedy to „Gruby" postanowił uciec z więzienia i został zastrzelony przez wartownika.

PAWEŁ SZLACHETKO

PS Imiona i pierwsze litery nazwisk osób występujących w artykule, zostały zmienione.

Książka z autografem

„Wskrzesiciele Faraonów i pogromcy sztuki" to książka insp. dr. Jana Świeczyńskiego, na którą przyjmowaliśmy zamówienia od Czytelników. I wywiązaliśmy się. Zdjęcie jest dowodem rzeczowym. Autor w redakcji podpisywał swoje książki. Wysłaliśmy je już zainteresowanym. Ale nie wszystkim. Pana Bogumiła Trebalę z Płocka prosimy o podanie adresu.

Tych, którzy przegapili okazję informujemy, że jeszcze są szanse. Wystarczy przesłać pod adresem redakcji zamówienie na książkę i przekaz na 46 tys. złotych (cena książki).

zdj. K. Mokrzyszewski

Brudny Harry

W LEGIONO

Policjant startuje niczym koń na Służewcu p Wielkiej Warszawskiej. W ręku trzyma niezawodn mat produkcji izraelskiej – uzi. Pada na ziemię kosi zarośla, później trzy obroty na ziemi i chowa występ muru. Wstaje, a właściwie przyklęka na jed lano i pruje kolejną serią w zarośla do przeciw barettą kaliber 12 w prawej ręce i uzi w lewej cz do celu. Uważnie lustruje teren, ale tam nawet nie miała szans na przeżycie. Te sceny nie rozgrw w okupowanej Jerozolimie czy też Hondurasie, Centrum Szkolenia Policji w Legionowie.

Po raz drugi czterech francuskich policjantów szkoliło 20-osobową grupę Polaków. Tym razem nie było nieporozumienia (poprzednio przysłano im m.in. antyterrorystów) i w tej grupie znaleźli się policjanci z pierwszej linii walki z bandytyzmem, tj. z wydziałów operacyjno-rozpoznawczych. To, że Francuzi okazali się fachmanami I klasy, mogą potwierdzić uczestnicy kursu. Mówi komisarz Jan Hajdukiewicz z KGP.

— Okazało się, że mamy z nimi tylko jedną cechę wspólną. Oni i my ćwiczymy na strzelnicy tylko po dwa razy. Ale... Francuzi dwa razy w tygodniu, a my dwa razy w roku. Nigdy nie uczono nas techniki strzelania do samochodów, a takowe policjantom z kryminalnego zdarza się coraz częściej. Tu chociaż podstawiono nam dwa wraki fiata i poloneza, które przerobiliśmy na sito. To czego się jeszcze nauczyliśmy, będzie można zobaczyć na pokazach.

Otóż to. Na zakończenie kursu zorganizowano dla kierownictwa Komendy Głównej Policji z podinsp. Zenonem Smolarkiem na czele umiejętności nabyto czas szkolenia. I był popatrzeć. Najpierw wkroczył nasz nowy ny, a tak przez dec sponiewierany, h „Sokół". Aby szybciej na dach budynku, w znajdowali się dom bandyci, sokół zaw dachem i dwóch Fra a także dwóch kursa kilkunastometrowej li ściło się na cel. Pr czerwony sokół mim wistego wiatru wisia wietrzu. Tego mądral publicznie twierdził, jest gorszy od amery go bella, bo nie zrob

cznego zawisu, podwiesiłbym na linie za nogi i tak latał z nim po całej Polsce.

Kolejny pokaz w wykonaniu kursantów to zatrzymanie niebezpiecznego przestępcy idącego ulicą. Tu nie ma przeproś. Klient jest „rzucony na glebę", dwóch policjantów trzyma go na muszce pistoletu, a trzeci, gdy bandyta pojękuje z bólu, bo leżąc na brzuchu ma odciągniętą głowę do tyłu, przeszukuje go metodycznie. Nie są to ruchy posuwiste, lecz tzw. oklepywanie, które zapobiega zakłuciu się igłą AIDS-owca. Podobnie

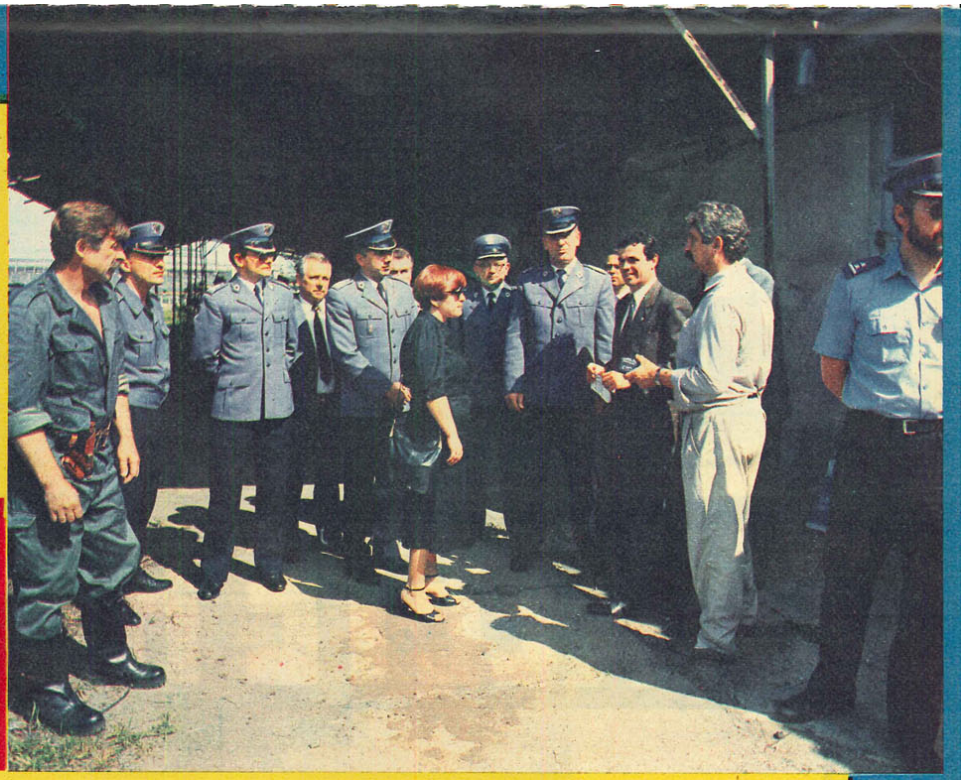

IONOWIE

niczym koń na Służewcu podczas iej. W ręku trzyma niezawodny auto- lskiej — uzi. Pada na ziemię i serią j trzy obroty na ziemi i chowa się za e, a właściwie przyklęka na jedno ko- ą serią w zarośla do przeciwnika. Z prawej ręce i uzi w lewej czołga się ustruje teren, ale tam nawet mucha przeżycie. Te sceny nie rozgrywały się zolimie czy też Hondurasie, lecz w Policji w Legionowie.

czterech policjan- 20-oso- Pola- ie było przednio tyterro- ie zna- ierwszej mem, tj. jno-roz- Francuzi i I kla- uczest- omisarz KGP. namy z cechę viczymy po dwa dwa ra- dwa ra- uczono do sa- policjan- zdarza chociaż wraki e prze- o czego ny, bę- na po-

ńczenie dla kie- Głównej enonem

Smolarkiem na czele pokaz umiejętności nabytych podczas szkolenia. I było na co popatrzeć. Najpierw do akcji wkroczył nasz nowy osławiony, a tak przez decydentów sponiewierany, helikopter „Sokół". Aby szybciej dotrzeć na dach budynku, w którym znajdowali się domniemani bandyci, sokół zawisł nad dachem i dwóch Francuzów, a także dwóch kursantów, po kilkunastometrowej linie opuściło się na cel. Przepiękny czerwony sokół mimo porywistego wiatru wisiał w powietrzu. Tego mądralę, który publicznie twierdził, że sokół jest gorszy od amerykańskiego bella, bo nie zrobi skute-

było przy zatrzymaniu niebezpiecznego przestępcy stojącego w miejscu. Pokaz ujęcia sprawcy posługującego się samochodem spowodował, że niektórzy dyrektorzy biur KGP przecierali oczy z przerażenia. Delikwenta nie trzyma się, jak u nas w pionie z rękami na masce, lecz po brutalnym wyszarpnięciu z fotela całuje on ziemię i jeszcze jeden policjant z całej siły butem przygniata w kolanie jego nogę.

I tu dochodzimy do tego, o czym mówili kursanci. W Legionowie sporo się nauczyli, ale po powrocie do macierzystych jednostek przełożeni zabronią im stosowania tych metod. Idealnych do polskich realiów, ale niezgodnych z regulaminami, instrukcjami. Tak się dziwnie składa, że u nas z bandytą trzeba się obchodzić jak z jajkiem i np. gdyby rzucono go na ziemię, jak tego na pokazie z samochodu, to od razu napisałby skargę, że się brutalnie z nim obchodzono i wtedy zaczynają się korowody. Nie daj Boże, aby podczas zatrzymania zarobił jakiegoś guza czy siniaka. Od razu policjantom wsiada na kark prokurator. To, że łobuz kogoś wcześniej pobił, obrabował czy zamordował schodzi na dalszy plan, bo pogwałcono jego prawa obywatelskie. Francuzi nijak nie mogli tego zrozumieć. U nich np. policja do samochodu, który ucieka po przełamaniu zapory, od razu grzeje z automatów, jak do kaczek.

Były jeszcze pokazy ujęcia bandyty w mieszkaniu z użyciem granatu ogłuszającego, działania dwóch zespołów i inne. I wszystko to wykonywane w błyskawicznym tempie, z determinacją taką, że pozoranci fruwali jak pierze. Ale jednocześnie z pełną asekuracją, bo we Francji najważniejsze jest bezpieczeństwo policjanta, a nie bandyty. Na zakończenie komendant główny Policji podinsp. Zenon Smolarek podziękował Francuzom za ich pracę, mówiąc m.in.:

— Kurs trafia w dziesiątkę na tle ostatnich potrzeb. Być może wasz trud pozwoli, że niejeden policjant przeżyje spotkanie z przestępcą, niejeden uchroni się od ran. Ale muszę powiedzieć, że za działania naszych policjantów nie musimy się wstydzić. W Żyrardowie wykonywali rutynowe czynności przy kontroli samochodu, o którym wiedzieli, że być może jest kradziony. Policjant w Bytomiu nie miał szans tak, jak nie miałby szans żaden inny funkcjonariusz na świecie, bo przestępcy ni stąd, ni zowąd otworzyli do niego ogień z automatu. W strzelaninie na Pradze brali udział zawodowcy najwyższej klasy. Mimo to odnieśli rany, bo takie a nie inne były warunki mieszkaniowe i terenowe. Trzeba sobie zdać sprawę, że wybraliśmy niebezpieczny zawód, lecz każde takie szkolenie pozwoli zmniejszyć ryzyko, za co wam gorąco dziękuję.

tekst
ZYGMUNT PODHORODECKI

zdjęcia
KRZYSZTOF MOKRZYSZEWSKI

ZAKLĘTE REWIRY

tekst i zdjęcia ADAM K. PODGÓRSKI

● **Uczciwość**

W Lipinach, dzielnicy Świętochłowic, poruszenie. Z bloku do bloku, z familoka do familoka, idzie wieść o fartownym synku, co na giełdzie samochodowej w Gliwicach spostrzegł na ziemi zdeptaną saszetkę. Bez zaglądania do środka przekazał torebkę kierownikowi placu, a ten puścił przez megafon stosowny komunikat. Jakoż po minucie do kantorka wpadł, jak bomba, zadyszany facet.

— Pan ogłaszał? — krzyczał już z progu do kierownika.

— Tak, ja...

— Masz pan u mnie 10 milionów! — wypalił przybysz, by szybko odwrócić się ku chłopakowi: — To ty znalazłeś?

— No..., z kolegą... — wybąkał zagadnięty.

— Kolega dostanie 15 milionów, a ty wybieraj sobie cinguecento! Jakie zechcesz!

Hojny dobroczyńca przyjechał na giełdę po ciężarowe volvo z przyczepą. W szczęśliwie odzyskanej saszetce niósł trzy i pół miliarda złotych. Teraz lipinianie urządzają spacery pod dom obdarowanego, by podziwiać połyskujące metalicznie autko. Potem z niejaką dumą opowiadają o nim każdemu napotkanemu.

● **Nieuczciwość**

Człowiek znający śląskie realia musi powyższy przypadek uznać za ewenement. Rodowici świętochłowiczanie powiadają: „Lipinioka, to poznać po gymbie!" W owym stwierdzeniu tkwi zapewne ziarenko prawdy. Lipiny od dawien dawna uważane są, przez nich za siedlisko wszelakiego zła i występku. Uczciwość nie jest bowiem cnotą szczególnie szanowaną w Lipinach, chociaż u rogatek miasta, od strony Łagiewników napisano spray'em: witamy uczciwych. Kilkadziesiąt metrów stąd, między przedwojennymi bunkrami wiedzie w las wąska przecinka. Bujna zieleń maskuje rdzawe wraki wyszabrowanych do cna i spalonych aut: forda sierry, opla recorda, dużego fiata i trabanta. W podmokłym rowie gnije skorupa poczciwej syreny.

— To sprawka rabusiów samochodowych — mówi kierownik Posterunku Policji Lokalnej, aspirant Wiesław Ciszczoń. — Szajki młodzieży pozbawionej możliwości nauki i pracy grasują nocami po Osiedlu Na Wzgórzu, po Chropaczowie i Osiedlu Ślężan, ograbiając i uprowadzając co lepsze pojazdy. Mamy pewne namiary, lecz udowodnić ciężko. Jednej z band szefuje 8-letni chłopaczyna, prawdziwy mistrz kierownicy. Kiedyś funkcjonariusze z bytomskiego patrolu zmotoryzowanego przeżyli szok na widok poloneza pędzącego bez kierowcy. Gdy podjechali bliżej, ujrzeli pyrtka, któremu czubek głowy wystawał ponad deskę rozdzielcza. Smarkacz nie usłuchał sygnałów do zatrzymania się i nie dał szans ścigającym.

● **Włamań „od jasnego pierona"**

Przy głównej ulicy, w szarym, brzydkim budynku urządzono posterunek Policji Lokalnej. Terenem służbowym obejmuje rejon Świętochłowic, zamieszkany przez prawie 40 tysięcy ludzi. Na obszarze porównywalnym z niektórym miastem wojewódzkim, strzeże porządku załoga w składzie 11 + 1. W piątkowy ranek aspirant Ciszczoń informuje, że w służbie ma funkcjonariuszy „sztuk: raz!". Jeden policjant leży w szpitalu, drugi zdaje egzaminy — wziął urlop szkolny. Reszta pójdzie w patrole po południu i w nocy, bo włamań sypie się „od jasnego pierona". Zaczynają się już o zmierzchu. Delikatesy, w centrum, przy placu Słowiańskim złodzieje obrobili już o dziewiętnastej. Później, przez trzy noce włamywali się doń czterokrotnie. Przestępcom sprzyjają opustoszałe rudery przylegające do wielu sklepów. Przez wyłomy w ścianach dostali się do dwóch sklepów monopolowych przy ulicy Barlickiego. Do „monopolki" na ulicy Figuły wedrzeć się nie zdołali. Policja nakryła ich, gdy drążyli dziurę w stropie i tylko warstwa terakoty dzieliła ich od magazynu.

W pustostanach znajdują schronienie handlarze ze Wschodu. Koczują w nich jedynie nocami. We dnie wystają na okolicznych bazarach. Przegnani, bez słowa sprzeciwu wynoszą się gdzie indziej. „Ruskie" nie sprawiają kłopotu, unikają konfliktów z Polakami. Czasem wybuchają wśród nich nagle awantury, bijatyki, znak, że natknęły się na siebie mafie zbierające haracz. Po 100 000 zł od „sklepu" na kocu czy „ladzie" na ładzie.

Ostatnio lipińską specjalnością stały się kradzieże przewodów trakcji elektrycznej. Złodzieje przecinają grube jak ramię mężczyzny kable przewodzące prąd o napięciu 660 V. W marcu tramwaje stanęły, bo przepadło 120 metrów linii zasilającej. W kwietniu nie kursowały dwa razy — zniknęło po 5 i 50 metrów, a w maju 90 mb. — w sumie ponad 260 metrów kabla.

● **U komendanta**

Alojzy Paszek, zażywny tęgawy staruszek o siwej czuprynie ma 87 lat. „Bydzie w czerwcu" — uściśla uśmiechając się pełnym garniturem pożółkłych zębów. W pokoju aspiranta czuje się swobodnie, wykrzykując, bo troszkę przygłuchy, swe gorzkie żale.

— Ni mom spokoju nikaj panie oficerze. Durś trzaskają o dźwierza i puszczają furt woda, ni, a zaś gadają, co ja puszczam. A ja przeca zamykom się i nie puszczam, pra, bo ida w szość spać. Nie łaża po ciemoku, pra, ino leża w becie.

No toż była dwa razy, no. Nawrotka. A najgorsze, to tyn Joniec i te Karlichy, te dwo, co siedzieli bez dziesięć roków. Skuli nich moja baba umrzyła, bydzie siben lat do zadku. Ten giz Joniec, pra, gado do tyj Nawrotki: Ty sie nie bój, bo joł jest z tobą, a tyn stary jest som. Mogymy z nim robić, co chcymy. Gadają mi: My ci domy, bydziesz taki malutki.

Jak ja był wczoraj na kolegium, czy dostali sztrajfa, to spotkałech na drodze tygo łonego, no dzielnicowego. Jak tam Paszku — pyta, a ja „Blank cichuśko", że spokój jest. No i mosz. Jak wieczorem zaczli rąbać, jak rąbać... Chebe we stodole! Takie chacharstwo. A tyn Precel, tyn kulawy podburzowuje jeich. Teroz Wróbla podpuścili.

● W patrolu

Policyjna nyska rzężąc wtacza się w wąskie uliczki, na zaplecza czynszowych kamienic, płosząc grupki mężczyzn opartych o parapety, z kufelkami piwa. Leniwie chowają wódkę i rozpraszają się jak gdyby nigdy nic, by gdy minie „niebezpieczeństwo" powrócić do ulubionego zajęcia. Na placu Słowiańskim pięciu obdartusów raczy się gorzałą.

— Znikajcie raz, dwa! — popędza ich sierżant Socha. — Bo kolegium będzie!

Słowa nie robią na nikim większego wrażenia. Pijacy rozchodzą się z ostentacyjną, wręcz pogardliwą powolnością.

— Tylko postraszyć mogę — usprawiedliwia swą niemoc policjant. — Nasze wnioski „upadają", bo nie ma świadków. Najlepiej, gdyby zaprotestował jakiś obywatel, mielibyśmy podstawę do interwencji. Ale takiego ze świecą szukać.

Niekwestionowanym przywódcą lipińskiego lumpiarstwa jest Marian K., pseudonim „Kąkol", postawny mężczyzna z obrzękłą czerwoną twarzą, w czarnej skórzanej kurtce. Ma za sobą 19 lat kryminału i miano „nietykalnego". Ludzie pobici i okradzeni przez niego, nawet jeśli w pierwszym odruchu powiadomią o przestępstwie policję, nazajutrz wycofują skargę. Niewątpliwy to objaw, że dotarli do nich poddani herszta, z perswazjami, wśród których groźby porwania dziecka czy spalenia samochodu zaliczyć wypada do najłagodniejszych. Konkurencją dla „Kąkola" jest Marian H. vel „Masorz", wprawiony jak wskazuje przydomek w każdej mokrej robocie. W razie potrzeby imiennicy potrafią wszak połączyć siły, a wtedy nikt i nic nie jest w stanie im się przeciwstawić.

Za sprawą policji odpadł jednak z tego grona Adam B., który zasłynął tym, że chodził po sklepach żądając okupu. Nie było takiego, co by nie zapłacił. W monopolowym brał garściami pieniądze z kasy. W barze „Kurczak" brutalnie odpychał od stołu klientów i zjadał zamówione przezeń potrawy. Onże, po pijanemu koszem na śmieci wytrzaskał wszystkie szyby w delikatesach, by zaopatrzyć się w trzy butelki wódki. Ten ostatni wyczyn zaprowadził go wreszcie za kratki, choć świadków jak zwykle ciężko było ustalić.

● Tato bije mocno

Radiowóz zatrzymuje się przed obskurną bramą. Po schodach pniemy się na samą górę, mijając na półpiętrze ubikację z muszlą wypełnioną po brzegi nieczystościami. Przed drzwiami Ł. noszącymi ślady częstych szturmów i połatanymi brudną sklejką zaczepia nas sąsiadka. „My tutej sie boimy, bo łoni durś ożarci ino gazem grzeją". Otwiera kobieta o nieokreślonym wieku z szarą szmatą w ręce. „Sprzątam — mówi, prowadząc do wnętrza, gdzie trudny do opisania smród zapyziałego brudu tamuje oddech. Szkaradne ściany, sufity, podłogi. Zasmolone gary na piecu, legowiska przypominające barłogi. W przedpokoju, zza zasłony skrywającej skład rupieci, wypełzają dzieci. Mały chudy chłopczyk szarpie aspiranta za nogawkę spodni powtarzając w kółko: „Tata bije mocno. Tata bije mocno".

Tatę spotykamy na wysypisku śmieci. Twarz ma szarofioletową z przepicia. Oparty o burtę śmieciarki rzeczowo konferuje z kierowcą. Chce wiedzieć, skąd przyjechał, co przywiózł. Tu nic się nie zmarnuje. Papier, złom, szmaty, stare buty, butelki mają swą wartość i znajdą nabywców. „Dzisiaj tu spokojnie — mówi kierownik zwałowiska. Stonka wyraja się, gdy idzie kamień z kopalni". Ł. przyznaje, że wybierając węgiel spośród łupków zarobi dziennie czterysta, pięćset tysięcy złotych.

dokończenie na s. 22

ZGRANICY

Z PRZEJŚCIAMI PRZEZ PRZEJŚCIE

zdj. K. Mokrzyszewski

Kiedy spojrzy się na mapkę przejść granicznych, od razu widać, że pomysł wejścia do Europy nie jest wcale tak bardzo nowy. Z prostego porównania liczby miejsc, w których można przekroczyć granicę wychodzi, że zawsze bardziej zależało nam na kierunku zachodnim. Co, być może, wynika z polskiej przekory, bo na wschodzie kazano nam mieć przyjaciół, na zachód zaś wyjeżdżanie raczej utrudniano. Dziś przejścia graniczne wschodnich rubieży można spokojnie policzyć na palcach jednej ręki.

O tym, że jest tam tłok, że w kolejkach na wjazd do Polski można czekać kilka dni, o makabrycznych warunkach sanitarnych wszyscy wiedzą. W ubiegłym roku przez wschodnie przejścia graniczne przeszła fala 17 mln osób. I będzie ich nie mniej tylko więcej. Podstawową więc rzeczą jest otwarcie nowych przejść. To oczywiste. Do tego czasu można by poprawić jakość pracy służb granicznych. Nie powiem czyich, bo brzydko pokazywać palcem. Zamiast tego dedykuję zainteresowanym poniższy tekścik.

Białorusi, co podkreśla niejedna deklaracja wysokiej rangi, na kontaktach z Polską i ze światem przez Polskę zależy. Nam też, na co również są stosowne kwity wagi państwowej. Z nieco niższej perspektywy przygranicznych miast wygląda to również gładko. I pewnie napisałbym o tym wzruszający artykuł, gdyby nie złośliwy los, który cisnął mnie na dworzec w Grodnie, gdzie na własnej skórze odczułem, czym różnią się deklaracje od życia.

Nasz pociąg odchodził za godzinę. Dobre słowo burmistrza sprawiło, że bocznym wejściem dostaliśmy się do komory celnej. Później okazało się, że skorzystanie z tego przywileju było błędem, stanie w ogonku chyba przygotowałoby nas do tego, co miało nastąpić. Na razie z marszu przeszliśmy odprawę celną. Zajęci rozgrzebywaniem monstrualnych waliz swych rodaków celnicy popatrzyli z obrzydzeniem na nasze chude bagaże i machnęli stosowne pieczątki. W chwilę później pogranicznik ostemplował nasze paszporty. Minęliśmy jego bramkę wpadając do miejsca, na temat którego można by się tylko spierać, czy jest jeszcze przedsionkiem piekła czy już piekłem. W dwóch kilkudziesięciometrowych salach kisił się zbity tłum ludzi. Jak wyspy w oceanie sterczały w nim sterty waliz, pak, pakunków i wypchanych czort wie czym worków. Okna szczelnie zamknięto. Ludzie się kłócili, nawoływali, przekrzykiwali. W toalecie zrobiła sobie poczekalnię grupa młodych osiłków, więc o skorzystaniu z niej nie było co marzyć. A z tyłu cały czas napływali nowi amatorzy zagranicznych wojaży...

Rozpłaszczony na czyichś plecach, dociskany czyimś łokciem z trudem wyszarpnąłem rękę, która ugrzęzła gdzieś w tłumie, by stwierdzić, że do odjazdu zostało kilkadziesiąt minut. W naiwności swej sądziłem, że zaraz ktoś otworzy drzwi...

Piętnaście minut przed odjazdem pociągu przez halę poczekalni (?) przeszedł pogranicznik. Właśnie — przeszedł. Tłum zrobił mu grzecznie drogę. Chyba wszyscy musieli wciągnąć powietrze. Następne dziesięć minut należało wyłącznie do tego człowieka z dwoma gwiazdkami na pagonach. Otworzył jedne drzwi. Powoli przeszedł do drugich. Otworzył. Oficer zajął teraz pozycję pośrodku niewielkiego placyku przed prowadzącymi na peron schodami. Tłum postąpił dwa kroki naprzód. Pogranicznik wstrzymał go ręką. Odwrócił się plecami. Tłum znów dał krok, dwa... Komenda „nazad" odepchnęła wszystkich do tyłu. Tylko z boku jakiś podchmielony osobas bez refleksu ciągle brnął do przodu. Palec pogranicznika wycelował prosto w niego — jechat nie choczesz? Na taką propozycję biedaka odrzuciło.

Dalej była zabawa z barierką. Taką metalową, zamykającą przejście do schodów. Tu pogranicznik bawił się setnie demonstrując, że jednym ruchem ręki może barierkę rozstawić, a wtedy nikt nigdzie nie pojedzie. Minuty do odjazdu pociągu mijały. Wiadomo było, że kolej nie poczeka. Oficer też to wiedział. Zerkał na zegarek. Smakował każdą sekundę czasu, który dawał mu władzę. Wreszcie zostało ostatnie pięć minut. Machnął ręką, a tłuszcza runęła ku peronowi.

W pociągu uświadomiłem sobie, że nie jestem gdzieś w głębokiej Azji, tylko 20 kilometrów na wschód od polskiej granicy. Przyznam, że przyszło mi to z trudem.

JAROSŁAW ŻUKOWICZ

WYKORZYSTAĆ KUMPLA

Zespół ds. Nieletnich KRP Warszawa Praga-Południe otrzymał informację o uprowadzeniu i zaginięciu upośledzonego umysłowo 16-letniego Andrzeja W., ucznia zawodowej szkoły specjalnej.

Jak wynikało z relacji ojca 18 marca br. około godz. 22.00 do mieszkania państwa W. na Grochowie zadzwonił 17-letni kolega syna Tomek O., który przyszedł ze swoim 19-letnim kumplem, Grześkiem N., i poprosił do drzwi Andrzeja, który właśnie kładł się spać. Nikt z rodziców nie zwrócił uwagi, że syn wyszedł, ich niepokoju nie wzbudził też fakt, że miał on na sobie tylko majtki. W jakieś pół godziny od chwili zniknięcia Andrzeja obaj młodzieńcy zadzwonili ponownie do drzwi państwa W. i oświadczyli, że ich syn został uprowadzony przez nieznanych mężczyzn w kierunku pobliskiej wagonowni na Olszynce Grochowskiej. Pan W. dał wiarę tym informacjom, zresztą nie miał powodów do podejrzeń — dwóch chłopaków gorliwie pomagało mu tego wieczoru w poszukiwaniach syna.

Ponieważ poszukiwania nie dały rezultatu, pan W. zgłosił zaginięcie syna do KRP przy ul. Grenadierów, podając policji wersję przekazaną mu przez Tomka: nieznani sprawcy uprowadzili w nieznanym kierunku upośledzonego umysłowo Andrzeja W. Ojciec chłopca oświadczył, że będzie nadal szukał syna u znajomych i jeszcze raz sprawdzi okolice domu. Ponieważ i te poszukiwania okazały się daremne, a do 20 marca Andrzej W. nie wrócił do domu ani nie został odnaleziony, do akcji włączyła się policja.

Sprawdzono w informacji szpitali i pogotowiu ratunkowym czy przywożono chłopca o podanym rysopisie. Okazało się również, że jednostki policji nikogo takiego nie zatrzymały, poszukiwany nie figurował też w policyjnej kartotece jako denat.

Wysiłek dochodzeniowców skoncentrował się na znajomych zaginionego. Tego samego wieczora Tomasz O. i jego przyjaciel Grzegorz N. zostali zatrzymani. W toku indywidualnych przesłuchań każdego z nich okazało się, że wersja o rzekomym uprowadzeniu Andrzeja W. jest niespójna i młodzieńcy coś kombinują. Wyszło na jaw, że uprowadzenie Andrzeja przez nieznanych sprawców jest fikcją, a w rzeczywistości zdarzenie miało zupełnie inny przebieg.

Według nowej wersji podawanej przez dwóch zatrzymanych krytycznego wieczoru, po wywołaniu rozneglizowanego Andrzeja W. przed drzwi oni sami, wespół z trzecim koleżką, 19-letnim Grzegorzem B., najpierw pobili, a później — rozebranego i bosego — uprowadzili do stacji postojowej wagonów osobowych na Olszynce Grochowskiej i tam pozostawili samemu sobie. O tym, co tam zaszło, opowiadali dosyć mgliście, obarczając odpowiedzialnością za wszystko prowodyra porwania Grześka B., u którego wypili owego dnia większą ilość piwa i wina. Zeznali, że to właśnie on zaproponował „zabawę" z upośledzonym Andrzejkiem i że już wcześniej miał skłonności homoseksualne.

Ponieważ rutynowe poszukiwania nie przyniosły rezultatu, a dwaj współsprawcy — Tomasz O. i Grzegorz N. — uciekli w krytycznej

PODRYWACZ Z BRAMY

— Czy dla chwilowej, zresztą bardzo wątpliwej przyjemności, można poświęcić życie człowieka?

Dwaj młodzi mężczyźni odruchowo spuszczają głowy. Nie procesowe, lecz czysto ludzkie pytanie postawione im przez prokuratora, trafia jeszcze do resztek sumień. Ale załamania nie przystoją osobnikom z marginesu. Słabeusze są wyśmiewani.

Pamiętają o tym: Jacek D. i Sławomir B. Szybko więc podnoszą głowy i powtarzają jak zawsze, gdy się im coś zarzuca:

— Panie prokuratorze, to pomyłka. Nie zrobiliśmy tego. Sąd nas uniewinni. Teraz prawo musi być szanowane.

Rano, koło 7.00 załoga komunalnej śmieciarki podjechała do jednej ze śródmiejskich posesji Tomaszowa. Robotnicy z pośpiechem wytaczali pod dźwig metalowe kubły z odpadkami. Wkrótce pozostał im do opróżnienia tylko jeden, duży zasobnik na kółkach. Nagle się zatrzymali. Spod grubej warstwy śmieci wystawały kobiece stopy w czarnych pończochach.

Po ochłonięciu z pierwszego wrażenia, robotnicy zdjęli górną warstwę śmieci. Ujrzeli leżące na brzuchu, częściowo obnażone ciało kobiety. Wezwali policjantów z KRP. Na miejsce przybyli również: prokurator i lekarz medycyny sądowej, który w toku oględzin zwłok, ujawnił na głowie kobiety liczne obrażenia z krwawymi wybroczynami, a także zasinienia na szyi. Jego zdaniem, kobieta zginęła przed kilkoma godzinami. Była bita i duszona. Obydwie przyczyny mogły spowodować śmierć.

Znacznie trudniej przebiegał proces ustalania jej tożsamości. Nie miała przy sobie żadnych dokumentów.

Tomaszów nie jest wielkim miastem, by stali jego mieszkańcy nie znali się z widzenia. Funkcjonariusze Policji poprosili o pomoc mieszkańców sąsiadujących z posesją, w której znaleziono zwłoki. Nie uzyskano jednak żadnych rezultatów.

Raz jeszcze przeszukano odzież denatki. I oto w jednej z kieszonek policjanci KRP znaleźli zadrukowaną kartkę, złożoną kilkakrotnie w niewielką kostkę. Był to urzędowy druk, tzw. mandat kredytowy za jazdę bez biletu autobusem miejskim.

Kara nie była wymierzona kobiecie, której zwłoki starano się teraz zidentyfikować, zawierała imię i nazwisko mężczyzny zamieszkałego pod Tomaszowem, w niewielkim miasteczku — Ujezdzie. Dlaczego więc ten nakaz płatniczy nosiła przy sobie tragicznie zmarła kobieta?

Policjanci udali się bezzwłocznie do Ujazdu. Tam, pod wskazanym na blankiecie adresem, spotkali młodego mężczyznę. Zdziwiło go ogromnie zainteresowanie policjantów konsekwencjami jego jazdy na gapę.

— Stało się — powiedział. — Wpadłem do Tomaszowa na chwilę, spieszyło mi się, zapomniałem, że nie mam biletu. Zostałem przyłapany przez kontrolera. Brakło mi pieniędzy na zapłacenie kary od ręki. Przyjąłem więc mandat kredytowy. Zostawiłem go matce z prośbą o uregulowanie. Na pewno już zapłaciła.

— Sprawa jest poważniejsza. Ten blankiet znaleźliśmy przy zwłokach kobiety, którą zamordowano — powiedział mu policjant. — W tej chwili sprawą dla nas najważniejszą jest identyfikacja zwłok. Prosimy, żeby pan nam w tym pomógł.

Po upływie około czterdziestu minut, ustalono ponad wszelką wątpliwość, że ofiara zabójstwa na tle seksualnym i rabunkowym była 39-letnia Jolanta S., mieszkanka Tomaszowa, matka dorosłego syna. Najwięcej mogła o niej powiedzieć koleżanka zatrudniona w służbie zdrowia.

chwili pozostawiając Grzegorza B. z pobitym Andrzejem W. na terenie wagonowni — zachodziło podejrzenie, że ten ostatni został tam zamordowany i zakopany.

Na miejsce przybyła ekipa policjantów z psem tropiącym. Rozważano użycie większych sił policyjnych, lecz okazało się to zbędne — Brus chwycił ślad podanego mu do nawęszania buta chłopaka i poprowadził swego przewodnika prosto do wagonowni na Olszynce, gdzie zaczął gubić ślad. Dochodziła godz. 21.00, gdy przeszukanie najbliższych wagonów osobowych dało pozytywny efekt: w jednym z przedziałów siedział prawie nagi, okryty zerwanymi z okien zasłonami, pokrwawiony, zziębnięty i głodny, lecz cały i żywy Andrzej W. Na pytanie zaskoczonych policjantów dlaczego nie wrócił do domu, odparł, że po tym co go spotkało, bał się ojca. Ogrzewał się przechodząc do podstawionych, nie wyziębionych jeszcze wagonów, żywił się znalezionymi resztkami... Na podstawie jego słów odtworzono dalszy ciąg historii:

Feralnego wieczoru wstał z łóżka i otworzył drzwi. Powitał go Tomek ze swoim kolegą. Obaj byli podpici i powiedzieli, że chcą z nim pogadać. W tym celu wywołali go na klatkę schodową, następnie wyprowadzili za blok i oświadczyli, że chcą z nim odbyć homoseksualne stosunki płciowe. Kiedy odmówił, został kilkakrotnie uderzony w twarz „z byka", a następnie zaciągnięty tak jak stał — na bosaka i w majtkach — do wagonowni na Olszynce. Na jego wołanie o pomoc w kilku oknach zapaliły się światła i pojawiły się głowy lokatorów, lecz nikt nie zareagował. Po drodze był nadal bity. Kiedy doszli do wagonów, główny sprawca, Grzegorz B., zgwałcił pobitego chłopaka. Andrzej W. stracił przytomność. Tomasz O. i Grzegorz N. wystraszyli się i uciekli z miejsca zdarzenia, na poczekaniu wymyślili wersję o uprowadzeniu Andrzeja przez nieznanych bandytów i uczestniczyli w poszukiwaniach, aby nie znaleźć się w kręgu podejrzanych.

Od chwili zgłoszenia zaginięcia Andrzeja W. do jego odnalezienia upłynęły około 2 doby, trudno powiedzieć, co stałoby się z niepełnosprawną umysłowo ofiarą, gdyby w porę nie podjęto skutecznych działań...

Lekarz zbadał pokrzywdzonego i potwierdził, że został zgwałcony. Stan Andrzeja W. nie wymagał hospitalizacji. Obecnie dużo zależy od opinii biegłego lekarza sądowego, gdyż zachodzi podejrzenie, iż pokrzywdzony mógł być wcześniej wykorzystywany seksualnie przez sprawców, lecz z różnych przyczyn nie chce tego ujawnić.

Główny sprawca pobicia, gwałciciel i prowodyr zajścia, 19-letni Grzegorz B. z Woli, został zatrzymany w dwa dni później. Wcześniej miał już na sumieniu napad i włamania.

W tej sprawie — oprócz 20-osobowego zespołu policjantów — bohaterem akcji poszukiwawczej został pies Brus, który z powodzeniem podjął ślad. Wcześniej wsławił się szybkim wytropieniem sprawcy czynów nierządnych, który na terenie Anina uprowadził małą dziewczynkę. Brus wskazał wówczas miejsce, w którym przebywał sprawca wraz z uprowadzonym dzieckiem.

WALDEMAR GAJEWSKI

— Wiem, — oznajmiła, — że Jola zamierzała pójść do koleżanki na imieniny.

Wymieniła nazwisko solenizantki. Funkcjonariusze ustalili jej adres. Poprosili o zrelacjonowanie faktów, związanych z pobytem Jolanty.

Przyszła wczesnym wieczorem. Przyniosła kwiaty i upominek. Na imieninach było sporo osób. Około godz. 22.00 ktoś zapukał do drzwi. Otworzyła solenizantka myśląc, że idzie jakiś spóźniony gość. W drzwiach stał nie znany jej mężczyzna. Zapytał, czy może zobaczyć się na moment z panią, która weszła o godz. 18.00. Gospodyni przytaknęła i poprosiła swą przyjaciółkę. Słyszała, że mężczyzna, zwracając się do Joli per pani, prosił, by wyszła. Ona się wahała. Oznajmiła, iż ma ochotę jeszcze trochę posiedzieć i wyjdzie gdzieś za godzinę.

— Będę czekał na ulicy — powiedział mężczyzna wycofując się poza próg.

Solenizantka zapamiętała jego rysopis. Twierdziła, że jest bardzo podobny do kogoś, kto mieszka w pobliżu i często wystaje z kolegami w bramie. Nie zawsze był trzeźwy.

Policjanci wytypowali 32-letniego Jacka D. Lubił alkohol i kobiety, pieniędzy zaś wciąż mu brakowało.

Początkowo wypierał się znajomości z Jolantą S. Dopiero w końcowej fazie śledztwa, już jako podejrzany, wyjaśnił:

— Poznałem tę panią, gdy szła na imieniny z wiązanką kwiatów. Zauważyłem, do których weszła drzwi. Około godz. 22.00 przyszedłem po nią, jak prosiła. Nie chciała wyjść od razu, więc spacerowałem po ulicy. Wyszła krótko przed 23.00. Zapytałem, czy napiłaby się ze mną herbaty. Miałem klucz do mieszkania Sławka B., którego żona wyjechała na wieś. Zgodziła się. Około północy wyszła i więcej jej nie widziałem.

Nieco inaczej, także w końcowej fazie postępowania przygotowawczego, zeznał zatrzymany Sławomir B.

— Przed północą Jacek zszedł na podwórze, gdzie czekałem na klucz do swojej chaty. Powiedział mi, że tej kobiecie coś się stało, bo zemdlała. Zaproponował, żebyśmy ją wynieśli na podwórze, aby nas nikt nie posądzał o morderstwo czy zgwałcenie. Nie widziałem innego wyjścia, więc się zgodziłem.

Funkcjonariusze KRP są przekonani, iż obydwie wersje są wykrętne i nieprawdziwe. W ich przekonaniu, Jolanta S. została wprowadzona do mieszkania Sławomira B. przez obydwu mężczyzn. Tam częstowali ją wódką, a następnie chcieli zgwałcić. Ona, choć niezupełnie trzeźwa, zaczęła stawiać opór. Wtedy zaczęli ją bić po głowie i dusić, co doprowadziło do śmierci kobiety. Oprawcy postanowili pozbyć się zwłok. Pozostawili sobie torebkę ofiary z kilkuset tysiącami złotych, żeby rano znowu popić.

Wkrótce, obydwaj podejrzani o morderstwo Jolanty S. staną przed sądem, który będzie się starał określić zakres winy każdego z oskarżonych.

EDWARD NOWAK

ZAGRANICZNA KRONIKA POLICYJNA

● YAKUZA WKROCZYŁA DO PARYŻA

Francuska policja rozbiła dużą siatkę drobnych handlarzy-pośredników wykupujących luksusowe towary galanterii skórzanej słynnych paryskich firm Vuitton, Hermes i Lancel, które następnie nawet po niższej cenie odsprzedawano w Japonii. W ten to sposób japońska mafia Yakuza, skupiająca około 110 000 członków, prała swoje brudne pieniądze, pochodzące z przestępczości (handlu narkotykami, prostytucji, gier hazardowych). Wstępnie francuska policja ustaliła, że w ciągu kilku tygodni działalności handlowej członkowie japońskiej Yakuza wybielili około 400 mln franków. Policja paryska zatrzymała ponad setkę tych pseudohandlarzy.

● REKORD W WIELKIEJ BRYTANII

Dziewięciu Brytyjczyków aresztowano w okręgu Liverpoolu po przechwyceniu przez angielską policję ponad 900 kg kokainy, w wyniku największej konfiskaty dokonanej kiedykolwiek w Wielkiej Brytanii. Przemytniczy transport, wartości 150 mln funtów, przechwycono po trwającej prawie rok inwigilacji członków brytyjskiej szajki handlarzy narkotykami. Kokainę przywieziono 12 stycznia br. statkiem z Wenezueli do portu w Felixtowne (południowy wschód Anglii).

● WYDALENIE ROSYJSKICH DYPLOMATÓW Z BELGII

Władze belgijskie postanowiły wydalić za szpiegostwo dwóch dyplomatów ambasady oraz dwóch przedstawicieli misji Rosji w Brukseli — oświadczył belgijski minister spraw zagranicznych. Natomiast belgijski minister sprawiedliwości podał do wiadomości publicznej o ujawnieniu siatki szpiegowskiej, działającej w Belgii od kilku lat na rzecz KGB — byłych radzieckich służb wywiadowczych, które pozostały czynne mimo rozwiązania ZSRR.

● WZROST PRZESTĘPCZOŚCI W ALBANII

Wzrasta przestępczość kryminalna w Albanii: 39 osób zostało zamordowanych tylko w marcu br., a 54 innych odniosło obrażenia w czasie napadów rabunkowych z bronią w ręku. Władze zaniepokojone są również wznowieniem przypadków „hakmarrje" — tradycyjnej wendety, która była przyczyną 17 zabójstw w ciągu trzech pierwszych miesięcy bieżącego roku.

Przed nowym ministrem spraw wewnętrznych, 50-letnim Baskim Kopliku, mianowanym na to stanowisko po niedawnych wyborach w Albanii, stoi trudne zadanie przywrócenia porządku publicznego w kraju ogarniętym anarchią i przestępczością pospolitą.

● ARESZTOWANIE HANDLARZY TLENKIEM URANU NA WĘGRZECH

Węgierska policja skonfiskowała 2,6 kg tlenku uranu pochodzącego z Ukrainy, a przewożonego samochodem osobowym przez dwóch Węgrów, których osadzono w areszcie śledczym — doniosła agencja prasowa MTI. Policja usiłuje ustalić, kto miał być nabywcą tego niecodziennego towaru przemytniczego.

oprac. **MARIAN OWCZAREK**

W Republice Federalnej Niemiec, trwa ożywiona dyskusja w sprawie wskaźnika dopuszczalności ilości alkoholu we krwi kierowców, prowadzących pojazdy. Zalecenia Komisji Brukselskiej krajów Wspólnoty, przewidują od 1993 roku obniżenie wskaźnika z 0,8 do 0,5 promille. Przepis o dopuszczalności do 0,5 promille już obowiązuje w Grecji, Holandii i Portugalii, Finlandii, Islandii, Norwegii. W Szwecji ograniczono dopuszczalną ilość alkoholu we krwi prowadzących pojazdy nawet do 0,2 promille.

ZAPACH FORSY

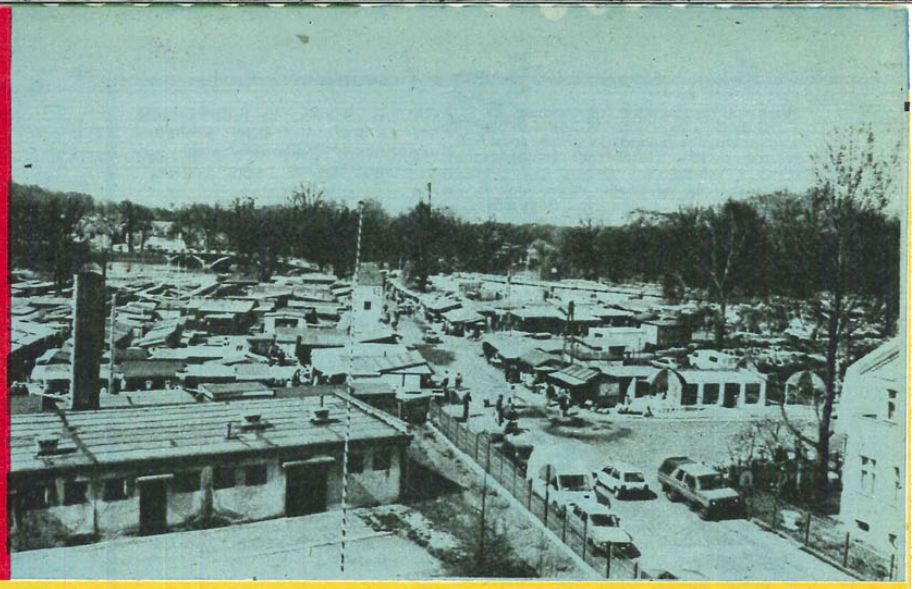

Około godziny 15.00 na moście granicznym zaczyna tworzyć się kolejka samochodów. Ruch pieszych też gęstnieje. Oczywiście od strony niemieckiej. Zbliża się pora zakupów i mieszkańcy Bad-Muskau przechodzą na polską stronę, żeby na bazarze w Łęknicy zaopatrzyć się we wszystko, co potrzebne im w domu. Bo prawie wszystko jest tu tańsze.

● MANHATTAN W ŁĘKNICY

Zwany Manhattanem bazar w Łęknicy jest największym targowiskiem przy naszej zachodniej granicy. Na powierzchni około 5 ha jest 1200 budek z towarami wszelkiego asortymentu. Chociaż to po polskiej stronie Nysy, słyszy się tu prawie wyłącznie język niemiecki. Ceny towarów podane są w markach. Ten handel zorganizowano dla Niemców, tu robi się na nich prawdziwie złoty interes. 1 kg jabłek kosztuje 2 marki, chleb — markę, szynka — 15 marek, pomidory — 4 marki, pieczarki — 3 marki, masło jedną markę, 10 jajek — półtorej marki, mrożona kaczka — 11 marek, papierosy — 2 marki za marlboro i golden americany, 1,6 marki — za pozostałe lepszego gatunku, kaseta magnetofonowa — 5 marek. Polskich klientów tu nie widać, ceny są dla nich zbyt wysokie. Natomiast dla Niemców bardzo atrakcyjne, często dwu-, trzykrotnie niższe niż u nich. Łącznie z benzyną, po którą przyjeżdżają nawet z odległych miasteczek. W Niemczech kosztuje 1,2 marki za litr, więc przed łęknicką stacją benzynową zawsze stoi kolejka samochodów na niemieckiej rejestracji.

Z budek na Manhattanie dobiegają głośne dźwięki walczyków i polek z niemieckimi tekstami, zapach kiełbasy pieczonej na rożnie miesza się z wonią spalin, ludzkiego potu i kurzu ze żwirowanych alejek. Dwie grube Niemki wybierają figurki ogródkowych krasnali targując się ostro. Płacą po 20 marek za sztukę i odchodzą zadowolone, każda z dwoma krasnalami pod pachą. Rumunka o pomarszczonej twarzy zaczepia przechodzących oferując im lniane serwetki. Góral z Nowego Targu sprzedaje futrzaki po 35 marek za sztukę.

● NOWE AUDI ZA ROK PRACY

Kiedy w 1991 roku, po otwarciu granicy spontanicznie zaczął powstawać łęknicki bazar, wieść o tym, że szybko można tu zarobić pieniądze, rozeszła się błyskawicznie. Po okolicy i po całym kraju. Wkrótce też i poza jego granicami. Licząca 2700 mieszkańców maleńka Łęknica, dotychczas zapadła dziura, nagle zaczęła tętnić życiem. Dała pracę swoim mieszkańcom i wielu przyjezdnym. Ludzie zaczynali dosłownie od zera. Wystarczyło mieć rower i przywozić codziennie na bazar pieczywo. Tak półtora roku temu handlował dzisiejszy właściciel dwóch budek na bazarze i dwóch samochodów — osobowego i dostawczego. Inny, który zaczynał od pożyczonych 200 marek, niedawno kupił w salonie samochodowym w Niemczech audi za 43 tys. marek, dzisiejszy właściciel baru i dwóch kantorów rok temu handlował margaryną z karto- Handlujący na bazarze wywodzą nów ustawionych na chodniku. się z różnych zawodów. Są tu urzędnicy, robotnicy, byli dyrektorzy zakładów pracy, nauczyciele, policyjni i wojskowi emeryci.

Do Łęknicy przyjeżdżają ludzie dosłownie z całej Polski. Od lata ubiegłego roku także Bułgarzy, Rumuni, Rosjanie, w różnych, również niehandlowych celach.

Rozwijający się spontanicznie handel początkowo trudno było władzom miasta uregulować. Wiele miesięcy trwało, nim stworzono targowisko nad rzeką, a w nim rzędy jednakowych, schludnych, drewnianych budek. Teraz jest już w miarę uporządkowane. W miarę — bo tworząc targowisko nie pomyślano o wystarczającym zapleczu sanitarnym i o zabezpieczeniu przeciwpożarowym. Dziś na śmietnikach wokół i na bazarze jest coraz więcej szczurów, a z kolei wąskie uliczki miejscami utrudniają dojazd straży pożarnej.

Targowisko przynosi miastu wielkie pieniądze. W ubiegłym roku dało do kasy miasta ponad 10 miliardów złotych, w tym przewidywane jest 17. Burmistrz Zbigniew Koralewski mówi, że dzięki dochodom z bazaru miasto utrzymuje szkołę, przedszkole i ośrodek zdrowia, remontuje kilka domów, nawierzchnie ulic, zakłada oświetlenie, buduje salę gimnastyczną, blok mieszkalny i kaplicę cmentarną. Firma budowlana, którą tu ściągnięto, dała zatrudnienie wielu mieszkańcom, tym, którzy nie „załapali" się na handel. W oddalonej od dużych ośrodków miejskich Łęknicy nie ma problemu bezrobocia. Przybywa ludzi z wykształceniem, bo młodzi, którzy wyjechali do szkół, wracają. Miasto przeżywa okres boomu. Władze planują jego rozbudowę.

Rzec by można, że władze miasta śpią na pieniądzach. I to o wiele większych niż oficjalnie wiedzą. Jeden z najlepiej znających bazar ludzi, komendant tutejszej Policji Lokalnej sierż. Roman Mazurkiewicz twierdzi, że dwóch urzędników skarbowych oddelegowanych tu na stałe miałoby co dzień pełne ręce roboty. Tymczasem urząd skarbowy nie przejawia większego zainteresowania targowiskiem i ogromne pieniądze przechodzą państwu koło nosa.

● POLICJA I POLIZEI

Jeżeli przez liczące 2700 mieszkańców miasteczko przewija się dziennie około 20 tysięcy ludzi, to nie ma cudów, żeby wszystko odbywało się bez zakłóceń. Komendant Mazurkiewicz mówi, że przed kilkoma laty wystarczał tu jeden policjant. Teraz powinien być tu komisariat. Niestety, jest tylko posterunek Policji Lokalnej. Mają siedzibę w dwóch małych pokoikach starego budynku. Do niedawna dysponowali tylko starym uazem i zdezelowaną maszyną do pisania. Ostatnio władze miasta wyremontowały lokal posterunku, wyposażyły go w telewizor, nową maszynę do pisania, a 11 kwietnia burmistrz Koralewski uroczyście wręczył komendantowi Mazurkiewiczowi (notabene policjantowi roku 1991 w województwie zielonogórskim) kluczyki do nowiutkiego radiowozu-poloneza.

4 policjantów zajmuje się sprawami prewencyjnymi, od wydarzeń kryminalnych jest Komisariat Policji w Tuplicach. A raczej z siedzibą w Tuplicach, bo jest to jednostka bez stałego „miejsca zamieszkania", a jej policjanci rozlokowani są w

...zech gminach. Ponieważ brak środków łączności komendant komisariatu jest cały czas w drodze, bo krąży między swymi ludźmi rozwożąc pocztę, rozdzielając zadania, kontrolując.

Tak więc licząc z policjantami „komisariatowymi" przydzielonymi do tej gminy miasto Łęknicę obsługuje w sumie siedmiu funkcjonariuszy. 7 policjantów na obszar 80 km i ponad 20 tys. mieszkańców.

Z drugiej strony Nysy, w Bad-Muskau, jest posterunek tzw. policji przygranicznej, a w nim 18 policjantów. Mają do obsłużenia 20 kilometrów pasa przygranicznego, a do dyspozycji 9 samochodów, 3 helikoptery, fax, dalekopis, kserokopiarkę, końcówkę komputera i radiostację. I siedzibę w pietrowym, schludnym budyneczku tuż przy moście.

Kontakty między policją i polizei są bardzo częste. I to nie z powodu podpisania jakichś specjalnych umów o współpracy, lecz dlatego, że jednych i drugich zmusza do tego życie. To Niemka chciała ukraść płaszcz na bazarze i trzeba ją było przekazać tamtejszej policji, to znów odwrotnie. Polak kradł w sklepie w Bad-Muskau. W drobnych sprawach obydwie strony odstępują od prowadzenia postępowań u siebie i przekazują delikwenta rodzimej policji. Liczba tych spraw tu i tam jest podobna. Z tą różnicą, że Niemcy są bardziej konsekwentni. Polaka, który popełnił u nich przestępstwo rejestrują w komputerze, a w paszport wstawiają mu tzw. niedźwiadka. Nie wpuszczą go już do siebie, a każdą próbę oszukania straży granicznej potraktują jak nielegalne przekroczenie granicy.

Drobnych spraw przygranicznych jest tyle, że prawie nie ma dnia, żeby komendant Mazurkiewicz nie przejeżdżał przez most służbowym samochodem lub odwrotnie — nie przyjmował u siebie sąsiadów zza Nysy. Kontakty z nimi chwali, mówi, że są życzliwi i chętni do współpracy.

● PRZEMYTNICY, NOŻOWNICY, MURZYNI...

Problemów przysparza policji nie ta codzienna drobnica. Także nie włamania, które sypią się nieustannie na bazarze, bo tu policja odnosi prawdziwe sukcesy, wykrywając prawie 90 proc. spraw. Najwięcej problemów przysparzają przemytnicy i cudzoziemcy. Nierzadko zresztą w jednej osobie.

Dobrze zorganizowane grupy po obu stronach rzeki prowadzą między sobą interesy. Wynajęci chłopcy przenoszą papierosy na niemiecką stronę otrzymując 50 marek za każdy karton, który dotrze do rąk odbiorcy. Ostatnio przemytnicy wzięli się za przeprowadzanie przez granicę Rumunów. Usługa kosztuje 200 marek od łebka. Z dowiezieniem do Berlina — dwukrotnie drożej. Z polskiej strony granicę przekroczyć nietrudno. Nysa jest płytka i wąska, a całe kilometry przygranicznych lasów nie do upilnowania dla Straży Granicznej. O wiele trudniej jest po tamtej stronie. Niemcy na ogół wcześniej czy później łapią delikwenta i odstawiają za granicę.

Cudzoziemcy w Łęknicy — to głównie (poza Niemcami rzecz jasna) Bułgarzy. Łęknica jest chyba drugim po Warszawie miastem w Polsce, które ma bezpośrednie połączenie z Warną. Autobus na tej trasie kursuje regularnie dwa razy w tygodniu. Latem Bułgarzy rozbijali całe obozowiska w lesie, żyjąc w ziemiankach i szałasach, zimą wynajmowali pokoje dla 10—12 osób, by kawałek miejsca do spania i pościłodze dla każdego. Handlując na bazarze stanowili poważną konkurencję dla Polaków, gdyż za te same towary żądali o wiele niższej ceny. Im opłacało się zarobić 10—20 marek dziennie.

Ale oprócz zwykłych handlarzy zjeżdżały tu z Bułgarii grupy przestępców. W lutym policja znalazła w wynajmowanym przez nich mieszkaniu papierosy „Marlboro" i „Golden American" za 70 milionów złotych licząc po cenach hurtowych. Bułgarscy przestępcy przybywając tu na gościnne występy dokonują wielu kradzieży i oszustw. Kupują na przykład od Niemców używane samochody i płacąc, robią klasyczne przewalanki, wkładając między banknoty pocięte gazety. Poruszają się samochodami wzdłuż trasy wiodącej do granicy i dokonują rozbojów. Zwłaszcza na Rosjanach, którzy ściągają tu, aby kupować od Niemców samochody.

Istna wieża Babel. Bułgar okrada Rosjanina w Polsce podczas kupowania samochodu od Niemca. Łęknickiej policji nic już nie zdziwi. Nawet fakt, że pewnej nocy, w lutym wezwano ich telefonicznie do elektrowni, gdzie dotarło trzech... Murzynów, poranionych nożem, bosych, w porwanych ubraniach. Byli to Ghanczycy, którzy nielegalnie chcieli dostać się do Niemiec, a o pomoc poprosili Bułgarów. Ci wywieźli ich do lasu, rozebrali, okradli, a broniących się poranili nożami. Nieszczęsnych Afrykanów przewieziono do szpitala, trzeba im też było zorganizować odzież i buty, a potem odesłać do Warszawy pod opiekę Biura Pełnomocnika Ministra SW ds. Uchodźców, twierdzili bowiem, że opuścili swój kraj z powodu prześladowań politycznych. Sprawców napadu ustalono, ale nie zatrzymano. Bułgarzy ci natychmiast po napadzie wyjechali z Polski.

Sytuacja z Bułgarami stawała się coraz trudniejsza aż nagle rozwiązało ją całkiem niespodziewane wydarzenie. Na targowisku doszło do sprzeczki między pijanym Polakiem a Bułgarem, ten ostatni wyciągnął nóż i dźgnął. Polak wylądował w szpitalu, Bułgar zwiał. Jego pobratymcy, bojąc się zemsty ze strony Polaków, szybko wynieśli się z Łęknicy...

● ZEMSTA HONECKERA

Problemów, chociaż innego rodzaju, zaczynają ostatnio przysparzać Niemcy. Sprzedają oni Polakom samochody dołączając do tego legalne dokumenty odbite na ksero. Potem zgłaszają na policji kradzież samochodu, biorą stosowne zaświadczenie z prokuratury i otrzymują u siebie z firmy ubezpieczeniowej, odszkodowanie. Kupujący od nich Polacy, a także Bułgarzy i Rosjanie też są zadowoleni płacąc za 5-letniego passata 5 tys. marek albo 4 tys. marek za rocznego opla. Starego trabanta można nabyć już za 50 marek. Pewien mieszkaniec Łęknicy dostał trabanta za worek ziemniaków, a potem sprzedał go za 2 miliony złotych.

Prawdziwym utrapieniem stało się ostatnio porzucanie starych trabantów i wartburgów w lasach otaczających Łęknicę. Niektóre jeszcze całkiem „na chodzie", z kluczykami w stacyjce znaleźć można na leśnych duktach. Wystarczy jeden dzień, by niewidzialne ręce ogołociły je tak, że zostaje smętny szkielet. Polska staje się złomowiskiem dla szczątków enerdowskiej motoryzacji. „Zemsta Honeckera za upadek socjalizmu" śmieją się mieszkańcy Łęknicy. Ale nie przejmują się tym zbytnio. Im kontakt z Niemcami przyniósł prawdziwy dobrobyt.

ELŻBIETA SITEK
zdj. Józef Chrząszcz

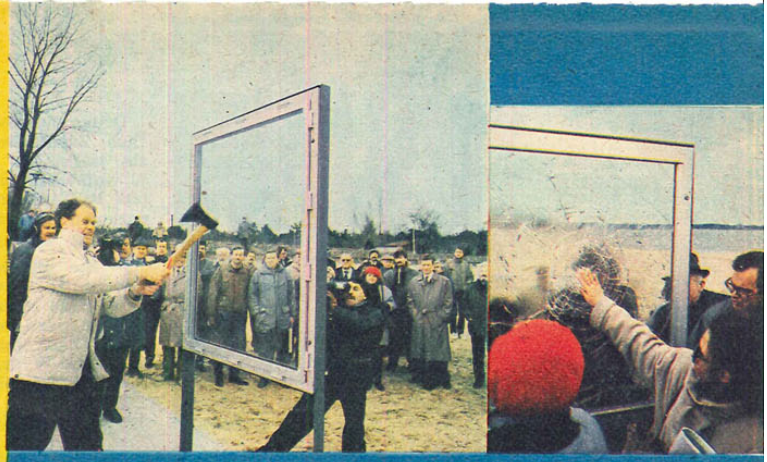

ZAMIAST KRAT...

Okna stanowią zazwyczaj najsłabsze punkty w systemie zabezpieczenia naszego mieszkania, domku czy też budynku. Zwykłe szkło okienne będące izolatorem technicznym i akustycznym nie daje gwarancji ochrony mechanicznej. Nie gwarantuje jej też często mocno przecenione tzw. szkło zbrojone drutem. Od kilku lat rewelacją na światowym rynku środków bezpieczeństwa stała się wielowarstwowa poliestrowa folia umożliwiająca zabezpieczenie istniejących otworów okiennych w krótkim czasie nawet bez ich demontażu.

Wyniki były rewelacyjne. Unaoczniły i potwierdziły skuteczność oraz zalety zastosowanych środków.

Sądzę, że przy odpowiedniej reklamie i polityce prewencyjno-ubezpieczeniowej znikną z naszych balkonów i okien ponure i nieestetyczne okratowania, zastąpione przez niewidoczne, nowoczesne i bardziej funkcjonalne środki.

Jakie są jej zalety?

Szyba 4 mm o wymiarach 90 x 110 cm oklejona tą folią wytrzymuje 3-krotną próbę przebicia za pomocą stalowej kuli o wadze 4 kg rzucanej z wysokości 3,5 m. W otwartym ogniu wytrzymuje 30 min, utrzymując przez cały ten czas szybę w ramach, nie dopuszczając tlenu do płonącego pomieszczenia. Szyby oklejone folią nawet przy bardzo silnym wybuchu nie wypadają z ram i nie ulegają rozpyleniu chroniąc ludzi i sprzęt przed szczególnie niebezpiecznymi odłamkami szkła.

Folie produkowane są w wielu wersjach (cieniowane, metalizowane, matowe, z włóknami alarmowymi), co ułatwia ich zastosowanie w różnych systemach zabezpieczeń w zależności od indywidualnych życzeń klienta. Inną możliwością zabezpieczenia otworów okiennych jest zastosowanie do szklenia wysoko wytrzymałych tworzyw sztucznych, takich jak płyty poliwęglanowe czy płyty poliestrowe zbrojone stalą. Materiały te mogą być wstawiane w miejsce dotychczasowych szyb lub jako dodatkowe uzbrojenie naszych okien montowane za pomocą specjalnych ram nasadkowych.

Oprócz zabezpieczenia przed wybiciem zastosowanie płyty ochronnej z tworzywa polepsza izolację cieplną i dźwiękową pomieszczeń. Jedyną wadą zarówno folii wielowarstwowej, jak i płyt jest brak odporności na przestrzelenie.

Niedawno — korzystając z zaproszenia jednej z firm zajmujących się dystrybucją i montażem tych środków w Polsce — uczestniczyliśmy w Rynii w pokazie zastosowania, skuteczności i zalet płyt oraz folii antywłamaniowej.

Zainteresowanie pokazem było olbrzymie, oprócz przedstawicieli wielu firm i spółek w pokazie uczestniczyli goście z największych towarzystw ubezpieczeniowych, banków, policji i środków masowego przekazu.

Zademonstrowano tam trzy próby: pierwszą — polegającą na rzucaniu w szybę zabezpieczoną folią: kulą metalową i kamieniami, drugą — na rzucaniu w szybę (z folią) butelką z zapaloną benzyną i trzecią — polegającą na detonacji ładunku wybuchowego (75 gram trotylu) zawieszonego obok zabezpieczonej szyby.

ZBIGNIEW RAZMUK
zdj. Krzysztof Mokrzyszewski

Spirytusowym szlakiem

W aferze spirytusowej ujawnionej przez policję tarnobrzeską skarb państwa stracił 150 miliardów złotych. Do tej pory na liście aresztowanych w tej sprawie znalazło się 20 osób. Podejrzanych jest znacznie więcej.

— Na ślad afery alkoholowej w naszym województwie trafiliśmy jesienią ubiegłego roku — mówi koordynujący sprawę nadkomisarz Andrzej Kiedrowski, naczelnik Wydziału ds. Przestępstw Gospodarczych Komendy Wojewódzkiej Policji w Tarnobrzegu.

Zaczęło się od sygnałów, że na rynku tarnobrzeskim pojawiła się wódka z nielegalnego źródła. Sondażowo kupiliśmy kilka butelek „Żytniej" w jednej restauracji. Wódka na pierwszy rzut oka wyglądała oryginalnie. Podejrzenia jednak okazały się uzasadnione, kiedy w laboratorium Łańcuckiej Wytwórni Wódek przebadano alkohol. Wyniki dowiodły, że był to rozcieńczony domowym sposobem spirytus. W wódce brakowało wymaganych procentów alkoholu, na dnie gromadził się osad. Butelki były zamknięte ręcznym przyrządem do kapslowania i nakrętki obracały się luźno. Eksperci z Łańcuta zwrócili także uwagę na etykiety, które były naklejone nierówno i nie posiadały śladów klejenia maszynowego. Wódka nie mogła być więc produkowana przez państwowe wytwórnie.

● TROPIENIE

Tymczasem w województwie tarnobrzeskim trefnej wódki zaczęło się pojawiać coraz więcej.

Kiedy ujawniono pierwszą nielegalną hurtownię w Grębowie, policja upewniła się, że jest na właściwym tropie. Właściciel nie zdążył upłynnić 5000 butelek. Wejścia do stodoły broniła zaciekle rodzina hurtownika. Jedna z kobiet wymachując policjantom widłami, nazwała ich esesmanami. Sam hurtownik jeszcze przed przeszukaniem zdążył się ulotnić. Zadzwonił nie wiadomo skąd do komendy Policji, krzycząc, że nie życzy sobie takich szopek, bo jest poważnym biznesmenem. Policja poszukuje go do dzisiaj...

Drugą hurtownię zlokalizowano w Gorzycach. Zarekwirowano tam 1500 butelek. Stało się jasne, kto i gdzie rozprowadzał wódkę w województwie tarnobrzeskim. Nigdzie jednak w Tarnobrzeskiem nie trafiano na ślad rozlewni. Gotowy produkt musiał być sprowadzany z innych województw.

— Nie minęło wiele czasu i przekonaliśmy się, że ujawniona w naszym województwie afera alkoholowa, to tylko jedno ogniwo wielkiego, przestępczego łańcucha — podkreśla nadkomisarz Stanisław Piotrowski — naczelnik Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego KWP w Tarnobrzegu.

● FIKCYJNY KONTRAKT

Marzenia o dużym szmalu zarobionym na spirytusie narodziły się w Warszawie. Tam powstała tzw. grupa koncepcyjna, która opracowała pomysł i sposób na zdobycie wielkich pieniędzy.

Wiadomo, że eksportowany alkohol nie jest obłożony wysokim podatkiem obrotowym, cena jednego litra spirytusu nie przekracza 60 centów. Sprytni warszawiacy opracowali dziecinnie łatwy plan.

Zawarli fikcyjny kontrakt z pewnym Egipcjaninem na wywóz do jego kraju jednego miliona litrów spirytusu. Cudzoziemiec spełniał określone wymogi, zgodnie z obowiązującymi przepisami podpisał umowę z jedną z central handlu zagranicznego na zakup alkoholu. Wszystko byłoby w porządku, rzecz jednak w tym, że ów milion litrów spirytusu w ogóle nie opuścił naszych granic. Spirytus został w kraju, gdzie był przerabiany na chodliwą wódkę „Żytnią" i „Krakusa" i sprzedawany ze znacznym zyskiem. Na tym zakończyła się rola Egipcjanina, który za fikcyjny kontrakt wziął swoje i rozpłynął się. Interes zaczęli rozkręcać warszawiacy. By przedsięwzięcie wypaliło, trzeba było zaufanych ludzi. Nim wódka została upłynniona, przeszła przez łańcuch pośredników — od organizatorów terenowych, celników, właścicieli rozlewni, hurtowników, kierowców, ochroniarzy aż do tych najważniejszych — płatników.

● PŁOTKI I REKINY

Śledztwo w sprawie afery alkoholowej zataczało coraz szersze kręgi. Posypały się aresztowania.

— W sumie zostało aresztowanych 20 osób zamieszanych w aferę alkoholową — mówi prokurator Anna Romaniuk z Prokuratury Wojewódzkiej w Tarnobrzegu. — Podejrzanym w tej sprawie jest także kolejna, 21 osoba z Gdańska. Wobec tego 38-letniego mężczyzny zastosowałam poręczenie majątkowe. Podejrzany nabywał alkohol w nielegalnych rozlewniach na terenie województwa gdańskiego. Zatrzymaliśmy 4 osoby z województwa tarnobrzeskiego, piąta poszukiwana jest listem gończym. Całym przedsięwzięciem kierował 30-letni warszawianin, którego aresztowaliśmy w styczniu na granicy wschodniej. Ze zgromadzonego materiału dowodowego wynika, że był on jednym z odbiorców spirytusu sprowadzonego do Warszawy. Aresztowaliśmy celnika, który fikcyjnie potwierdzał wywóz alkoholu za granicę. Zatrzymani zostali także hurtownicy, którzy zajmowali się rozprowadzaniem fałszywej wódki oraz kierowcy rozwożący towar. Listem gończym poszukiwane są cztery osoby z województw: warszawskiego, tarnobrzeskiego, wrocławskiego i gdańskiego.

Aresztowani przebywają w miejscach odosobnienia w Załężu, Tarnowie, Gdańsku i Wrocławiu. Kim są? Przede wszystkim młodymi ludźmi, dobrze przygotowanymi do robienia biznesu. Wcześniej pracowali w różnych spółkach handlowych, jeden z nich jest specjalistą ds. handlowych. Posiadają różne wykształcenia, od podstawowego do nauczyciela historii. Nie ukrywali swojej tożsamości, przy transakcjach legitymowali się własnymi dowodami osobistymi.

— Zatrzymani w większości nie poczuwali się do żadnej winy, — mówi nadkom. Andrzej Kiedrowski. — Zdawali sobie sprawę, że kiedyś wpadną. Byli na to przygotowani i odpowiednio przeszkoleni. Na karteczkach mieli wypisane przeróżne informacje, np. godzina odpłynięcia promu do Szwecji, gdzie rzekomo miał być przewożony spirytus.

— Wszyscy się nawzajem oszukiwali, okradali — podkreśla podinspektor Adam Marusiak — a w trakcie zeznań całkowicie prysła ich solidarność.

● POLICYJNA HARÓWKA

Śledztwo w sprawie afery alkoholowej było niezwykle trudne i kosztowne. Aferzyści dysponowali ogromnymi pieniędzmi, stać ich było na wiele. Tymczasem przez dziewięć miesięcy intensywnego śledztwa policjanci z dietą 20 000 zł, leciwymi samochodami docierali do kilkuset osób w całym kraju. Przesłuchania trwały do późnych godzin nocnych. Praca policji tarnobrzeskiej to kilkadziesiąt wyjazdów m.in. do: Świnoujścia, Wrocławia, Leszna, Gdańska. Dawały się we znaki nie tylko uciążliwe podróże, ale brak paliwa i ogromne koszty. Cieszyły natomiast sukcesy, kiedy udało się w tak precyzyjny i szczegółowy sposób rozpracować siatkę przestępczą, której macki sięgnęły woj. tarnobrzeskiego.

Policjanci z Komendy Wojewódzkiej Policji w Tarnobrzegu, prowadzący dochodzenie w tej sprawie wskazują na wydatną pomoc policji stołecznej, Wrocławia, Gdańska. Podkreślają ogromne zaangażowanie pani prokurator Anny Romaniuk z Prokuratury Wojewódzkiej w Tarnobrzegu. Materiał dowodowy jest bardzo solidny, to siedem opasłych tomów akt, to ponad setka przesłuchanych świadków. Na poczet kar zabezpieczono samochody osobowe, biżuterię, dewizy, sprzęt radiowo-telewizyjny — łącznej wartości prawie 5 miliardów złotych.

Podinspektor Adam Marusiak, jeden z bezpośrednio prowadzących tę sprawę, podkreśla, że działania policji od początku do końca były przemyślane i systematyczne.

— Grupa przestępcza — mówi — wierzyła w swoje nieograniczone możliwości. Gdy jej plan się nie powiódł, przeszła do gróźb. W czasie toczącego się śledztwa zadzwonił do mnie jeden z podejrzanych, przedstawiając się znanym nazwiskiem producenta filmowego. Oznajmił, iż w związku z tym, że jest osobą publiczną i ciąży na nim poważny zarzut, żąda wyjaśnienia. Odpowiedziałem, że skoro czuje się pokrzywdzony, może się do mnie zgłosić i wyjaśnić sprawę. Nie skorzystał z zaproszenia. Zadzwonił ponownie, podkreślając, że jest u ministra i ten pyta, czy to prawda, że jest poszukiwany listem gończym. Podkreślał bliskie kontakty z ministrem, nawet opowiedział mi telefonicznie swój udział w aferze alkoholowej, której przebieg wyglądał, jak w filmie gangsterskim...

ANNA ZIELIŃSKA-BRUDEK

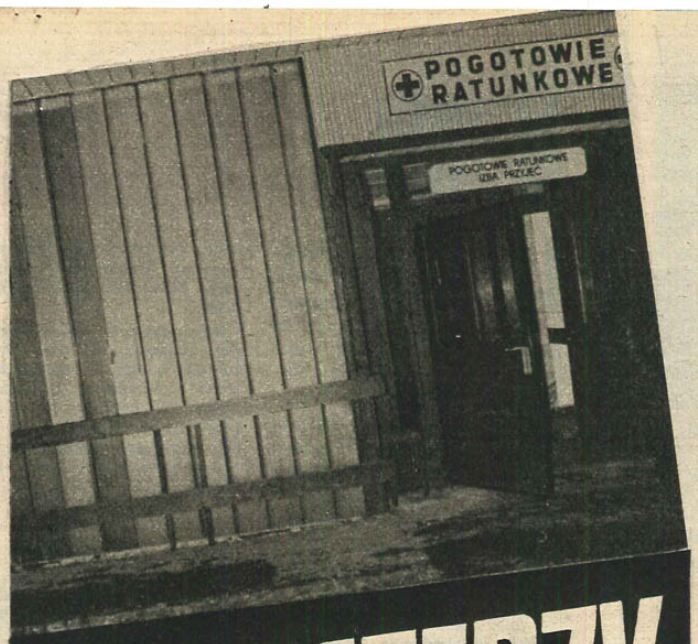

GANGSTERZY W WEJHEROWIE

Spokojny, niepozorny 23-letni młodzieniec w okularach, z tzw. dobrej rodziny okazał się gangsterem. Edukację zakończył na szkole podstawowej, lecz w rozmowie zawsze podkreśla, że uczęszczał do różnych szkół i jest mechanikiem samochodowym. W rzeczy samej – jego miłość do samochodów dała o sobie znać, gdy ukończył 18 lat – za włamania do cudzych pojazdów Jurand Nagórski otrzymał wówczas wyrok 2 lat i 8 miesięcy pozbawienia wolności. Po roku odsiadki, za dobre sprawowanie, opuścił zakład karny i – jak się wydawało – zaczął uczciwe życie. Miał głowę na karku, gdyż w ciągu 3 lat od wyjścia na wolność udało mu się zebrać na tyle duży kapitał, by wydzierżawić warsztat i salon samochodowy o wdzięcznej nazwie „Merlin" w gdyńskiej dzielnicy Obłuże. Na uwagę zasługuje nieprzeciętny spryt młodego człowieka, który doszedł do fortuny nie wzbudzając podejrzeń otoczenia. I pewnie nadal żyłby szczęśliwie, gdyby nie powinęła mu się noga...

20 lutego br. o godz. 5.00 na przejściu granicznym w Kołbaskowie niemieccy celnicy zainteresowali się paszportem pewnego młodego człowieka, który podjechał do punktu kontroli eleganckim mitsubishi pajero. Kiedy skrupulatni celnicy chcieli obejrzeć niemiecki paszport, kierowca mitsubishi nagle ruszył taranując barierkę przejścia granicznego. Omijając pozostałe punkty kontroli, na pełnym gazie wjechał do Polski. Tymczasem służby celne i Straż Graniczna nie próżnowały — dwa towarzyszące uciekinierowi samochody renault i drugi mitsubishi pajero zostały zatrzymane — okazało się, że są kradzione. Sprawdzono również, że pierwsze mitsubishi wraz z dokumentami skradziono w Niemczech tej samej nocy. Do cudzego paszportu przestępca wkleił własne zdjęcie.

Wkrótce Niemcy przekazali stronie polskiej ścisłe dane na temat polskiego gościa — jego rysopis i prawdziwe nazwisko były dobrze znane niemieckiej policji — Jurand Nagórski był poszukiwany w Niemczech za rozboje, kradzieże i paserstwo, figurował w rejestrze, został więc błyskawicznie zidentyfikowany. Był na tyle pewny siebie, że zaraz po przyjeździe do Gdyni-Obłuża postawił trefne auto w warsztacie i polecił swoim pracownikom zdjąć niklowane rury zderzaków, sam natomiast wziął identyczne mitsubishi pajero i ruszył na przejażdżkę po mieście. Sądził, że nikt niczego mu nie udowodni. Tego samego dnia został zatrzymany przez gdyńską policję.

W prywatnym warsztacie pana Juranda policja znalazła 20 polskich, niemieckich i amerykańskich tablic rejestracyjnych, fałszywe dowody rejestracyjne oraz 45 radiomagnetofonów wartości 95 mln zł, przechowywanych na zlecenie właściciela pewnej gdyńskiej hurtowni. (ostatnio ów dżentelmen z wiadomych przyczyn ulotnił się i jest poszukiwany listem gończym). Na siedem samochodów, jakie miały być wystawione do sprzedaży w salonie „Merlin" — sześć zostało ukradzionych w Niemczech (dwa mitsubishi, audi, volvo, saab i volkswagen-bus). Wszystkie te auta, zanim trafiły do salonu, musiały w warsztacie przedsiębiorczego mieszkańca Gdyni zmienić „skórę" — fabryczne numery i cechy indywidualne, aby wykluczyć ewentualną wpadkę.

22 lutego br. Jurand Nagórski zgodnie z decyzją prokuratury został tymczasowo aresztowany. I sam Nagórski, i jego otoczenie przekonani byli, że zostanie szybko zwolniony. Tymczasem po miesiącu zjawił się prokurator przedstawiając mu zarzuty z art. 203 i 215 k.k. (kradzież i paserstwo), wzmocnione o recydywę i zarzut nielegalnego przekroczenia granicy. Zanosiło się na przedłużenie tymczasowego aresztowania i inny zgoła finał, niż sobie to pan Jurand wyobrażał.

Mimo dość barwnego życiorysu nie zwrócił na siebie szczególnej uwagi i w Areszcie Śledczym w Wejherowie, sprawiał wrażenie spokojnego i skromnego obywatela. Dochodzeniowcy pamiętają jednak, że ich klient inaczej mówił po zatrzymaniu, a inaczej, kiedy wiedział, że jego odpowiedzi są protokołowane. Wykazał dużo tupetu już na wstępie, zaraz po zatrzymaniu kategorycznie zaprzeczając jakoby kiedykolwiek opuszczał Polskę. Ba! Stwierdził, że nawet nie ma paszportu! Rzeczywistość okazała się inna. „Aniołek" spuścił nieco z tonu, gdy policja udowodniła mu oprócz kradzieży i paserstwa wyrobienie sobie paszportu na podstawie fałszywego wpisu meldunkowego — wbrew zasadzie ścisłej rejonizacji — nie w Gdyni, lecz w Gdańsku. (Dotychczas niezupełnie wiadomo jak

było to możliwe. Gwoli ścisłości należy dodać, że z wydziału paszportów w zagadkowy sposób zniknęły wszystkie dokumenty Nagórskiego, pozostały po nich same okładki). Nagórski jednak powtarzał uparcie bajeczkę, że ktoś podszył się pod niego, wykorzystując do tego celu jego zdjęcie.

Około 20 marca do Aresztu Śledczego w Wejherowie, w którym od kilku dni przebywał Jurand Nagórski, przybył prokurator rejonowy z Gdyni. Celem jego wizyty było m.in. ostrzeżenie odpowiednich osób przed nowym pensjonariuszem tutejszego przybytku.

23 marca, w poniedziałek, około 19.30 Jurand Nagórski — dokonał samouszkodzenia, przecinając sobie żyłę na lewym przedramieniu. Wezwany lekarz pogotowia stwierdził, że konieczny jest zabieg chirurgiczny w warunkach szpitalnych.

W asyście 2 funkcjonariuszy Służby Więziennej okaleczony aresztant z nogami zakutymi w kajdanki, przewieziony został do wejherowskiego szpitala, znajdującego się na obrzeżach miasta.

Po dokonaniu zabiegu chirurgicznego konwojenci posadzili skutego Juranda Nagórskiego na dwukołowy wózek i skierowali się w stronę stojącej przed Pogotowiem Ratunkowym szpitalnej karetki.

W tym momencie jeden z konwojentów poczuł na karku lufę pistoletu i usłyszał wezwanie do poddania się i zwolnienia Juranda Nagórskiego. Strażnicy nie usłuchali wezwania i rozpoczęła się strzelanina. Zgodnie z przepisami tylko jeden z konwojentów miał przy sobie broń palną — on właśnie został zaatakowany jako pierwszy i zraniony w szyję zaczął się ostrzeliwać. Napastników było dwóch i obydwaj byli uzbrojeni w pistolety, toteż szanse samoobrony były znikome, cóż dopiero mówić o utrzymaniu więźnia. W trakcie strzelaniny Nagórski, mimo krępujących jego nogi kajdanków, skacząc „żabką" przedostał się w pobliże zaparkowanego nie opodal białego mercedesa 190 i po chwili siedział w środku. W tym momencie samochód ruszył z miejsca, dwaj napastnicy zdążyli wskoczyć do auta w biegu. Cała scena rozegrała się w kilkanaście sekund i nim świadkowie ochłonęli, po bandytach nie było śladu.

Obydwaj funkcjonariusze Służby Więziennej zostali ciężko ranni, jedynie szybkiej interwencji chirurgów mogą zawdzięczać życie. Jednemu z nich wycięto osiemdziesięciocentymetrowy odcinek jelita... Obaj są w wieku ok. 30 lat, mają rodziny i małe dzieci.

Naczelnik Aresztu Śledczego w Wejherowie Wojciech Biegaj mówi, że Nagórski niczym szczególnym się nie wyróżniał, niewiele o nim wówczas wiedziano, natomiast zachowanie i wygląd tego człowieka nie budziły obaw.

Jak ustalono, w odbiciu Juranda Nagórskiego uczestniczyło 3 młodych mężczyzn. Biały mercedes widziany był przed szpitalem, zanim przywieziono Nagórskiego na zabieg, jeden z napastników, ubrany w biały fartuch, czekał od pewnego czasu w budynku szpitala. Mercedes 190, który wykorzystali bandyci miał tablice rejestracyjne z literami GKK.

Jeden z napastników był w wieku ok. 30—35 lat, miał ok. 180 cm wzrostu, krótkie ciemnoblond włosy (lekko łysiejący), nosił przyciemnione okulary w złotej oprawce. Drugi — nieco niższy (ok. 178 cm) i tęgi, miał ciemne włosy. Pierwszy ze sprawców był właśnie widziany w poczekalni pogotowia przed przywiezieniem Nagórskiego. Rysopis trzeciego sprawcy — kierowcy mercedesa — nie jest znany.

Osoby, które mogą dopomóc w identyfikacji sprawców napadu proszone są o kontakt z KRP w Wejherowie, ul. Dworcowa 14, tel. 72-54-74, KWP w Gdańsku tel. 39-53-33 lub z najbliższą jednostką policji.

WALDEMAR GAJEWSKI
zdj. KRP Wejherowo

PS Policja zatrzymała już jednego z podejrzanych o udział w odbiciu Juranda Nagórskiego.

NVC
NEPTUN VIDEO CENTER

VIDEOKONKURS 15

GAME OF DEATH (Śmiertelna gra) — kung-fu
Wyst. Bruce Lee, Reż. Robert Clouse

To ostatni film nakręcony przez Bruce'a Lee przed jego tragiczną śmiercią. Następnego (Śmiertelna gra II) nie zdołał już dokończyć. Tym razem ten znany aktor i mistrz wschodnich sztuk walki z nieco ironicznym uśmiechem opowiada nam historię pewnego aktora, który (niczym sam Bruce Lee) gra w filmach karate. Bohaterowi filmowej opowieści nie jest jednak dane dokończyć kręcony obraz. Zjawia się piękna kobieta i przestępcy. Oczywiście najpierw Bruce musi rozprawić się z gangsterami, by następnie móc wziąć ją w ramiona.

Mimo tych wszystkich fabularnych uproszczeń film zadowoli najwybredniejsze gusty wideomanów pasjonujących się tego typu filmami.

CINEMA PARADISO — obycz.
Wyst. Philippe Noiret, Reż. Giuseppe Tornatore

Jeżeli kochacie film, to koniecznie trzeba obejrzeć ten fascynujący obraz. „Cinema Paradiso" w 1989 roku otrzymał specjalną nagrodę w Cannes, a następnie Amerykańska Akademia Filmowa uhonorowała film dwoma Oskarami: dla najlepszego aktora roku 1989 i za najlepszy film europejski tegoż roku.

Oto w małym sycylijskim miasteczku kino „Paradiso" urasta do rangi centrum kulturalnego. Podczas seansów ludzie się kłócą, kochają, nienawidzą, dorastają i... umierają. Wszystkich zaś jednoczy ten niepowtarzalny czar, przenoszący widzów w świat nierzeczywistej fantazji. Brawo NVC!

THE RETURN OF THE MUSKETEERS (Powrót muszkieterów) — hist.
Wyst. Michael York, Oliver Reed, Geraldine Chaplin, Richard Chamberlain, Reż. Richard Lester

To wspaniała kostiumowa opowieść o dawnej Francji, jej królu i wiernych mu muszkieterach. Jednym słowem wszystko, co Aleksander Dumas zawarł w dwóch książkach: „Vicehrabia de Bragelone" i „Dwadzieścia lat później".

Obraz opowiada o tym, jak muszkieterowie spotykają się po latach, gdy Francji znów zagraża niebezpieczeństwo. Tym razem krajem rządzi diabelski kardynał Mazarini, a za kulisami najgorszych intryg pojawia się cień złej M'Lady de Winter. To jest to!

MARTIAL ARTS FILMS — karate
Reż. Sandra Weintraub

Ten dokumentalny film zawiera najlepsze sceny z najlepszych filmów kung-fu i kick-boxingu, w których występowały między innymi takie gwiazdy, jak: Jean-Claude van Damme, Bruce Lee, Cynthia Rothrock i inni.

W „Videokonkursie" nr 14 zwyciężyli: Aneta Janic — Wałbrzych, Mirosława Pisaniec — Warszawa, Jan Roch — Myślenice.

Zwycięzcom gratulujemy!

Uwaga, po przylepieniu do kart pocztowych znaczka z napisem, **„Videokonkurs" nr 15** należy nadsyłać je pod adresem redakcji nie później niż w terminie 14 dni od daty ukazania się numeru. Wśród zwycięzców zostaną rozlosowane kasety z licencjonowanymi filmami video.

Niniejsza rubryka jest sponsorowana przez firmę NEPTUN VIDEO CENTER (Sopot, ul. Kościuszki 4), dystrybutora licencjonowanych kaset video na cały kraj.

SAMO ŻYCIE

LEP NA MUCHY

Bożena K., nauczycielka biologii z Ostrowca przyjechała do Warszawy w odwiedziny do znajomych. Przy okazji chciała sprzedać 500 dolarów USA. Z pociągu wysiadła na Dworcu Wschodnim i skierowała się do pobliskiego kantoru przy ul. Kijowskiej. Wewnątrz był spory tłumek. Bożena K. nie miała ochoty na wystawanie w ogonku. I wtedy podszedł do niej nieznajomy mężczyzna.

— Chce pani sprzedać dolary?

Cena proponowana przez nieznajomego była korzystniejsza o 50 zł za jednego dolara od aktualnego kursu. Nauczycielka chętnie wyraziła zgodę. Wyszli przed kantor.

— Pani pokaże — mruknął mężczyzna. Kobieta zawahała się na moment, wyjęła pięć studolarówek. Nieznajomy przyjrzał im się dokładnie.

— W porządku, pani zaczeka chwilę — oznajmił. Zniknął w pobliskiej bramie. Wrócił po kilku minutach ściskając w ręku zgrabny pakunek polskich banknotów. Wręczył go klientce, a sam wziął od niej amerykańską walutę. Nauczycielka w skupieniu liczyła banknoty. Przeliczyła ponownie:

— Brakuje sto tysięcy — powiedziała.

— Sto tysięcy? Niemożliwe — zdziwił się cinkciarz. — Pani pozwoli paczuszkę, przeliczymy razem.

Przeliczyli. Okazało się, że kobieta miała rację.

— Bardzo panią przepraszam, zaraz to uzupełnię — rzekł mężczyzna sięgając do kieszeni. W tym momencie nauczycielkę ktoś silnie potrącił. Odwróciła głowę. Minął ją jakiś dryblas, który nawet nie obejrzał się, nie mówiąc o przeprosinach.

— Proszę, teraz wszystko się zgadza — oznajmił handlarz oddając jej paczuszkę wraz z brakującym banknotem stutysięcznym. Schowała pieniądze do torebki.

Gdy weszła do pobliskiego sklepu, spotkało ją rozczarowanie. Oprócz banknotu stutysięcznego, który otrzymała oddzielnie i dwóch banknotów o takim samym nominale leżących na wierzchu paczuszka składała się z pliku pięćdziesięcio- oraz stuzłotówek.

Nauczycielka pobiegła w stronę kantoru. Kiedy dotarła tam, zaczęła rozglądać się za mężczyzną, z którym niedawno ubiła „interes". Nie było go jednak.

— Tutaj nie zdarza się, żeby ktoś się pomylił — powiedział człowiek w czarnej skórzanej kurtce.

Nauczycieka ze łzami w oczach zaczepiała przechodniów i błagała o pomoc.

Funkcjonariusz z wydziału operacyjno-rozpoznawczego wysłuchał jej relacji, a potem wezwał radiowóz, który zawiózł pokrzywdzoną na miejsce przestępstwa. Raz jeszcze kobieta oglądała twarze stojących tam mężczyzn. Bez rezultatu.

Minęło kilka dni. Policja zatrzymała przed kantorem na Kijowskiej mężczyznę odpowiadającego rysopisowi podanemu przez kobietę. Należało czym prędzej pokazać go pokrzywdzonej.

Zaktywizowana nadzieją Bożena K. wsiadła do najbliższego pociągu jadącego do stolicy. Z dworca wzięła taksówkę do komendy przy ul. Cyryla i Metodego. Niestety, ją i prowadzących śledztwo funkcjonariuszy czekało rozczarowanie.

— Tak dzieje się z większością spraw tego rodzaju — powiedział zastępca naczelnika wydziału operacyjno-rozpoznawczego Komendy Rejonowej Policji Warszawa—Praga-Północ nadkom. Andrzej Ciempiel. — Wykrycie ich jest bardzo trudne. Po dokonaniu oszustwa sprawcy znikają z reguły na dłuższy czas albo zmieniają teren swojego działania.

— W jaki sposób udaje im się tak skutecznie dokonywać oszustw, gdy ofiara stoi obok i patrzy na ręce?

Oszust posługuje się dwiema paczuszkami o identycznym wyglądzie. Jedna, ukryta starannie przed wzrokiem ofiary, zawiera kawałki papieru lub banknoty o niskim nominale. Druga, demonstrowana „klientowi", składa się z niepełnej, uzgodnionej sumy. Paczuszkę tę otrzymuje ofiara i, rzecz jasna, przelicza. Następnie upomina się o brakującą kwotę. Oszust odbiera paczuszkę pod pozorem przeliczenia zawartości. Korzystając ze sprowokowanej przez wspólnika nieuwagi pokrzywdzonego, błyskawicznie dokonuje zamiany paczuszek. Dokłada brakujący banknot i paczuszkę zwraca klientowi.

— Co dzieje się jeśli klient, mimo wszystko, zorientuje się w oszustwie?

— Ofiara domagająca się zwrotu gotówki może zostać zaatakowana i pobita. Czasem złodziej zwraca pokrzywdzonemu pieniądze, ten odchodzi, z reguły jednak niezbyt daleko. Zostaje napadnięty i obrabowany.

— Dlaczego ludzie decydują się na sprzedaż lub kupno walut na ulicy mając tuż obok kantor, w którym mogą zrobić to legalnie i bezpiecznie?

— Ludzie bywają pazerni i pozbawieni wyobraźni. Cinkciarz proponuje zaledwie parę groszy więcej niż kantor i ludziom to wystarcza. Myślą, że zarobią, w rzeczywistości — tracą.

PIOTR KITRASIEWICZ

ZAKLĘTE REWIRY

dokończenie ze s. 15

— Więcej od górnika — zauważa sierżant. — Moglibyście trochę zadbać o chałupę!

— E, tam — krzywi się Ł. — Człowiek taki zarobiony — powiada z obłudną miną. I on, i policjant wiedzą dobrze, że cała, zarobiona z niemałym trudem forsa, jeszcze dzisiaj pójdzie „na przelew".

● **Na banie**

Za baną, czyli nasypem nieczynnej kolejki wąskotorowej, leżą hałdy. Jamy wydrążone w zboczach dają schronienie rozmaitym przybłędom. Deszcz na łeb nie leje, przytulnie. Urządzają się całkiem wygodnie. Ułomek krzesła zastępuje stół, a postrzępiony materac wersalkę. Nie opodal, niżej, roztaczają się dzikie ogródki „banderozy". Otoczone parkanami z rozbiórkowych desek kryją niejedną tajemnicę, gdyż ujadające wściekle brytany odstraszają ciekawskich. Policja też woli się tu nie zapuszczać.

Na torowisku mężczyzna wykręcający śruby z podkładów zbyt późno zauważa radiowóz. Jest brudny, nieogolony, zalatuje odorem kwaśnego piwa. W samodziałowym „wuzyku", mutry, łuby przytrzymujące szyny, kilofy i łom. „Na chleb potrzebuja — wyjaśnia — wyciągając wymiętoszony dowód. — Nikaj mnie nie chcą przyjąć".

Nyska kolebie się, podskakuje na wybojach. Przez tylną szybę widzą jak obdarty zbieracz złomu powraca do mozolnego podważania szyn. Czereda umorusanych dzieciaków pomaga mu wrzucać urobek do wózka. Jak sprzeda, kupi im pewno po dropsie. W Libinach dzieci wcześnie pojmują istotę wiążącej lokalną społeczność solidarności.

ADAM K. PODGÓRSKI
zdjęcia autor

SPORT

POLICYJNA LIGA

W województwie katowickim wystartowała do rozgrywek policyjna liga piłki nożnej. Pomysł na jej utworzenie zrodził się podczas ubiegłorocznych występów drużyny KRP w Katowicach w lidze śląskiej old-boyów. Jak dotąd zespoły piłkarskie powstały w 18 komendach rejonowych, niektórych komisariatach i Oddziale Prewencji Policji. Zarząd kierowany przez kom. Kazimierza Bednika opracował regulamin rozgrywek. Trwają zmagania w trzech grupach terenowych: górnośląskiej, zagłębiowskiej i rybnickiej. Finał, walka o puchar przewodniczącego ZW NSZZP odbędzie się jesienią. Oby na Stadionie Śląskim w Chorzowie.

AKP
zdj. K. Mokrzyszewski

OFIARNI, LECZ BEZRADNI

W tragicznym wypadku drogowym w Rasztowie, woj. ostrołęckie, gdzie samochód wpadł do jeziora, niektóre gazety doszukiwały się przede wszystkim sensacji. Policji zarzucono brak reakcji na zdarzenie. Przypomnijmy, że śmierć poniósł młody mężczyzna.

Otrzymaliśmy wyjaśnienie komendanta rejonowego Policji w Wyszkowie kom. Andrzeja Kawińskiego, w którym czytamy m.in.: 10 maja br. około godz. 2.00 dyżurny KRP został powiadomiony przez dyżurującego policjanta w komisariacie w Radzyminie o anonimowym telefonie informującym o wypadku drogowym w Rasztowie. Ten polecił funkcjonariuszom Komisariatu Policji w Tłuszczu sprawdzenie informacji, wkrótce we wskazane miejsce wyruszyło czterech policjantów. W wyniku penetracji jeziora, mostku i przyległego terenu nie ujawnili oni żadnych śladów mogących świadczyć o tym, że samochód wjechał do wody. Usiłowali, mimo późnej pory, dotrzeć do mieszkańców okolicznych domów. Ci, którzy otworzyli drzwi, o wypadku nic nie wiedzieli. Policjanci powrócili do komisariatu i zdali dyżurnemu relację z wyjazdu.

Kilka godzin później z KP w Radzyminie nadeszła wiadomość potwierdzająca nocny telefon. Niezwłocznie z KRP w Wyszkowie wyjechała grupa operacyjno-dochodzeniowa uzupełniona na trasie policjantami z KP w Klembowie. Napotkani wędkarze potwierdzili ten tragiczny fakt, nie umieli jednak wskazać miejsca, w którym znajdował się zatopiony pojazd. Ich kolega, który był świadkiem zdarzenia, wyjechał do Warszawy.

Dowódca grupy zwrócił się do dyżurnego KRP z żądaniem ściągnięcia specjalistycznego sprzętu ratowniczego, ten z kolei poprosił o wsparcie ze strony Komendy Rejonowej Straży Pożarnej w Wyszkowie. Po chwili nadeszła informacja o braku takiego sprzętu. Dyżurny KWP w Ostrołęce z podobnym apelem zwrócił się do Komendy Głównej Państwowej Straży Pożarnej, przyrzeczono mu wysłanie samochodu oraz dwóch płetwonurków. Po jakimś czasie Policja dowiaduje się, że straż nie dysponuje płetwonurkami, po 10 minutach nadchodzi sprostowanie, ludzie są, ale nie mają sprzętu, który akurat oddany został do legalizacji. Zapowiedziano jednak wysłanie z Warszawy pomocy.

Przez ponad półtorej godziny załoga radiowozu oczekuje przed Radzyminem, aby pilotować ekipę stołeczną w rejon wypadku. Bezskutecznie, okazało się, że nie wyjechała ona i najprawdopodobniej nie wyjedzie do Rasztowa. Na niewiele zdają się telefony do Łomży i Białegostoku. Około godz. 15.00 dyżurny KRP w Wyszkowie oznajmił oczekującym na pomoc służb specjalistycznych, że nic takiego nie nastąpi i winni we własnym zakresie podjąć próbę wydobycia zatopionego samochodu.

CZYJA WINA?

Na jezioro, mimo porywistego wiatru, wypłynął własnym pontonem jeden z policjantów KP w Klembowie. Pożyczonym z CPN w Emilianowie bosakiem penetrował jezioro, by natrafić na uwięziony pojazd. Zaczepił linkę, jednak rolniczy ciągnik nie podołał próbie wyciągnięcia auta. Pojawił się wóz strażacki, za którego kierownicą siedział policjant-strażak ochotnik z Wyszkowa. Około godz. 18.00 wydobyto samochód marki Opel-Kadet, wewnątrz którego znajdowały się zwłoki mieszkańca pobliskiej wsi.

— Na podstawie zebranego materiału procesowego oraz czynności wykonanych w ramach postępowania wyjaśniającego stwierdzam — napisał kom. Andrzej Kawiński — że nie dopatrzyłem się nieprawidłowości czy też niewłaściwego wykonywania obowiązków służbowych przez podległych mi policjantów. Uważam, że zrobili oni wszystko, co było możliwe w danej chwili i sytuacji, a policjant, który dwukrotnie wypływał na jezioro zasłużył na słowa szacunku i uznania.

Dodajmy, że na pytanie dziennikarza „Nowego Świata": „Czy nieszczęsny kierowca miałby szansę doczekania się pomocy w Warszawie? — wicewojewoda warszawski odpowiedział: „W stolicy działa Centrum Operacyjne Wojewody, dyżurujące przez całą dobę. Teoretycznie pomoc powinna być udzielona przez straż pożarną lub Policję, jeśliby Centrum o niej wiedziało. Brak jest bowiem jednolitego systemu łączności między służbami specjalistycznymi, czyli policją, strażą pożarną, pogotowiem ratunkowym. Chodzi o taki system, w którym wszyscy ze wszystkimi mogliby się łączyć i wzajemie słyszeć. Stworzenie go jest sprawą bardzo kosztowną, choć wojewoda uważa, że dzielnice miasta i administracja państwowa powinny wspólnie na taki system się złożyć, aby uruchomić jedno centrum dowodzenia ratownictwa technicznego.

Teraz funkcje te wykonuje straż pożarna, która nie tylko gasi ogień, ale zdejmuje też np. koty z drzew. Dotąd nie ma w Warszawie koncepcji ratownictwa technicznego. Dlatego pan wojewoda nie radzi wpadać do jeziora, a już zwłaszcza w nocy".

W stolicy nie ma więc koncepcji, nie mówiąc już o centrum dowodzenia... Co mają powiedzieć policjanci z Komisariatów Policji w Klembowie, Radzyminie, Tłuszczu, którzy dysponują prywatnym pontonem, linką i chęciami niesienia pomocy...

JERZY KIRZYŃSKI

magazyn 997 kryminalny

WYDAJE
KOMENDA GŁÓWNA POLICJI

ZESPÓŁ REDAKCYJNY: **ELŻBIETA CIERLICA** (redaktor naczelny 601-61-26, 48-98-10 lub MSW 149-70), **Waldemar Gajewski, RYSZARD HRYCYK** (red. graficzny), **JERZY KIRZYŃSKI** (zastępca redaktora naczelnego, 601-61-72, 48-14-30), **Piotr Kitrasiewicz, Tadeusz Noszczyński, Edward Nowak, Adam K. Podgórski** (oddział red. w Katowicach, 510-221 w, 1965), **Zygmunt Podhorodecki, Elżbieta Sitek, Paweł Szlachetko, Jolanta Ślifierz, Hanna Świeszczakowska, MARCEL TABOR** (sekretarz redakcji, 601-61-32, 48-14-30), **Krzysztof Zaczkiewicz** (red. techniczny).

FOTOREPORTERZY: **Krzysztof Mokrzyszewski, Krzysztof Potocki**

ADIUSTATOR: **Agata Guzdek-Wrotna**

KOREKTA: **Małgorzata Boruta, Elżbieta Mirowska**

ŁĄCZNOŚĆ Z CZYTELNIKAMI: **Maria Pawlak, 601-61-15**

KOLPORTAŻ I MARKETING: **Krzysztof Niemiec, Teresa Tomaszewska, 601-68-66**

STALE WSPÓŁPRACUJĄ: **M. Owczarek, K. Stępniak, J. W. Wójcik, J. Żukowicz.**

ADRES REDAKCJI: 02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 36/38. Telefon sekretariatu 601-61-26, kasa 601-60-86, telefax 601-68-67 lub MSW 168-67. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych oraz zastrzega sobie prawo skrótów i zmiany tytułów nadesłanych artykułów.

PRENUMERATA

I. Zamówienia na prenumeratę od osób cywilnych i instytucji przyjmują terenowe oddziały Zakładu Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch" oraz urzędy pocztowe;
II. Funkcjonariusze, pracownicy cywilni Policji oraz emeryci i renciści resortowi zamawiają prenumeratę u naszego kolportera w najbliższej jednostce Policji.

Reklamacje w sprawie kolportażu kierować pod adresem redakcji: **ul. Domaniewska 36/38 02-672 Warszawa tel.: 601-68-66, 601-61-26. Fax: 6016867. Konto bankowe: Okręgowy Oddział NBP Warszawa nr 1052-7995-130 BGTiZ (prenumerata).**

OGŁOSZENIA: Przyjmujemy pod adresem redakcji „MK 997". Cena: słowo — 5000 zł, cm² — 7500 zł. Kolorowane dwukrotnie droższe. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

DRUK: Wojskowe Zakłady Graficzne, 00-950 Warszawa, ul. Grzybowska 77

numer zamknięto 10 VI 1992
zam. 7621
REDAKTOR DYŻURNY
ZYGMUNT PODHORODECKI

panorama 997

MYŚLI

W moim przekonaniu ustrój demokratyczny wspiera się na dwóch filarach — zdrowego rozsądku i niezbędnego zaufania.

Zbigniew Dyka

W polityce jak w piosence, liczą się nie tylko słowa, ale i melodia.

Stanisław Kania

Cóż za ciężka praca podobać się nieciekawym ludziom.

Heinrich Heine

ZAPAMIĘTAJ:

Są chwile upadku woli, kiedy wola, aby się ratować, musi się zmienić w upór.

Karol Irzykowski

ŚWIĄTECZNE UPOMINKI DLA BOSSÓW

Wewnątrz dużych czekoladowych jaj wielkanocnych w jednym z barów Neapolu, upominków dla szefów tamtejszej mafii „Camorra", włoscy karabinierzy wykryli... pistolety. Policjanci przypuszczają, iż ofiarodawcy tych świątecznych upominków, nafaszerowanych krótką bronią palną i amunicją, chcieli zdobyć przychylność miejscowych „ojców chrzestnych".

Wśród różnych innych paczkowanych upominków, zawierających butelki whisky i likieru, znajdował się także sprasowany haszysz.

WYMOWA STATYSTYK

Średnio rocznie Francuz wypija 13,3 litra czystego alkoholu, wobec 11,6 l — we Włoszech oraz 8 litrów w Stanach Zjednoczonych. To pierwszeństwo, tradycyjne dla tego kraju, zamienia się w katastrofalną sytuację na drogach.

Cyfry są wymowne: kierowcy w stanie nietrzeźwym są odpowiedzialni za 38,8 proc. wypadków drogowych oraz 40 proc. wypadków z ofiarami śmiertelnymi. Francuskie statystyki wykazują, że codziennie 3 proc. kierowców prowadzi pojazdy w stanie nietrzeźwym wskutek czego śmierć na drogach ponosi 15 osób, a w każdy weekend, między godz. 14.00 a 3.00 rano, u sześciu kierowców na dziesięciu notuje się przekroczony próg 0,8 promila alkoholu we krwi, dopuszczalny w tamtejszych przepisach drogowych.

ROZBICIE SZPIEGOWSKIEJ SIATKI WE WŁOSZECH

Włoskie władze zakomunikowały o wykryciu siatki szpiegostwa, głównie przemysłowego, na rzecz byłego Związku Radzieckiego. Aresztowano 20 osób narodowości włoskiej. W komunikacie podano, że siatkę ujawniono dzięki ścisłemu współdziałaniu włoskich i amerykańskich służb kontrwywiadowczych.

WESTERN TRWA

253,6 mln mieszkańców Stanów Zjednoczonych posiada ponad 200 mln sztuk broni palnej różnego rodzaju. W 1991 roku FBI zarejestrowało około 25 000 zabójstw w USA. Z oficjalnych statystyk z 1989 roku wynika, że wskaźnik zabójstw dla Waszyngtonu wyniósł 8,7 na 100 000 mieszkańców, a dla Nowego Jorku 25,8.

(om)

FRASZKI

Dowód dostateczny

Nie musisz dowodzić,
że słoniem nie jesteś:
dowiedź, żeś nie trąba —
daruj sobie resztę.

Dwaj z krzyżami

Pod krzyżem leży taki,
co szukał przeciwnika —
krzyż na piersi ma taki,
który go unikał.

Dobry pomysł

Lubiący radzić na pomysł wpadł:
— Nie radzę! —
mówi nie chcącym rad.

JERZY LESZCZYŃSKI

PRZECIWKO TERRORYSTOM

Po zakończeniu zimnej wojny brytyjskie służby kontrwywiadowcze (MI 5) zintensyfikują walkę z terroryzmem północnoirlandzkim, oświadczył niedawno minister spraw wewnętrznych Kenneth Clarke w wystąpieniu przed Izbą Gmin. W MI 5 zatrudnionych jest ponad 2000 agentów, a od kilku miesięcy szefem brytyjskich służb kontrwywiadowczych jest pani Stella Rimington.

Kilka dni po tym oświadczeniu, w Belfaście, od wybuchu samochodu-pułapki dziesięć osób odniosło rany. Do tego zamachu bombowego przyznała się IRA z Ulsteru.

(om)

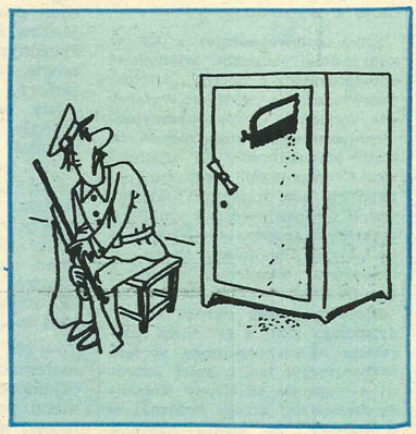

KRZYŻÓWKA nr 12

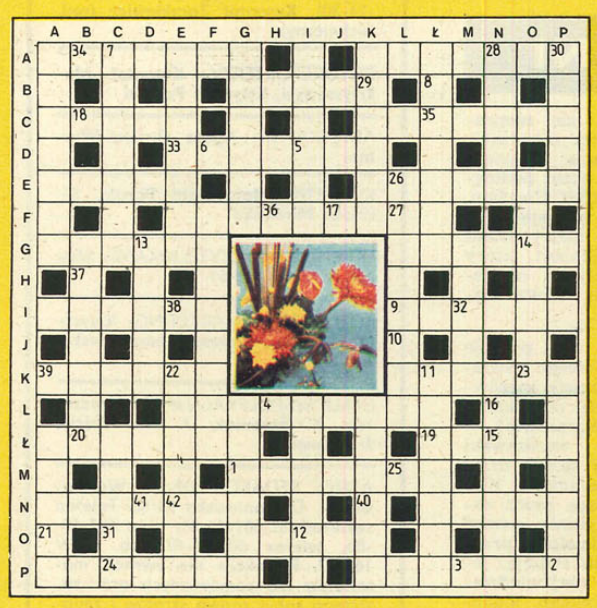

Litery z ponumerowanych pól, napisane w kolejności od 1 do 42, utworzą rozwiązanie, które wystarczy nadesłać bez wyrazów krzyżówki.

Poziomo:

A) na niej hoduje się bakterie ● imię męskie. B) autor książki o Kubusiu Puchatku. C) skórzany futerał na łuk, używany od XVI w. ● kontrola pracy instytucji. D) w starożytnej tragedii greckiej wejście chóru na orchestrę i jego wstępna pieśń. E) zmarły chodzący po nocy i wysysający krew ze śpiących ● zbieranie darów na jakiś cel. F) szatnia dla księdza. G) nóż do nacinania w głowicach frezowych do drewna ● jaja płazów otoczone galaretowatą substancją. I) świta ● naczynie do mokrej obróbki materiałów fotograficznych. K) poeta perski z przełomu XII i XIII w., autor „Chamsy" ● afisz. L) samowładca, despota. Ł) broń drzewcowa z grotem w kształcie kosy ● syntetyczne tworzywo termoplastyczne. M) lincz. N) państwowe gospodarstwo rolne w ZSRR ● słuszność. O) za pogrzebanie Polinika skazał na śmierć Antygonę. P) ssak owadożerny; sorek ● chrząszcz z rodziny ryjkowców, szkodnik drzew i krzewów.

Pionowo:

A) miasto w woj. ciechanowskim ● pracownik odlewni. B) kompozytor oper „Wilhelm Tell", „Cyrulik sewilski". C) denna ryba z grupy wędkarzy; nawęd ● turban. D) drabinka, za którą wkłada się paszę dla bydła i koni. E) uchodzi do M. Bałtyckiego w Darłówku ● podobna do pietruszki. F) w nim hoduje się rybki. G) Am wśród pierwiastków chemicznych ● część zbroi ochraniająca udo. I) szerokie, bufiaste spodnie ● kolega, kompan. K) przywódca bandy ● gorzka wódka z nalewów na piołun. L) lekkie ciasto z utartych z cukrem żółtek i piany. Ł) na niego zawsze można liczyć ● naczelnik powiatu w Prusach. M) parada. N) błękit ● po obiedzie. O) zagadnienie, problem. P) rośnie na łące ● w gronie budowlanych.

STANISŁAW BARAN

●

Wśród Czytelników, którzy w terminie 14-dniowym nadeślą prawidłowe rozwiązania, rozlosowana zostanie nagroda w wysokości 100 000 złotych. Na kartce pocztowej lub kopercie prosimy dopisać: krzyżówka nr 12.